

Hamujące długi?
Błogosławione
banki?

FB zatrudnia
FB zwalnia
FB wszystko wie

Łódzkie
„Oratorium”
społecznej energii

Młoda sztuka
z Rosji nazywa
się od nowa

PRZE KROJ

Nr 12 (3481) / 19 MARCA 2012 / CENA 3,99 zł

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Czy spalą nasze lasy?

INDEXS
571424

ISSN 0033-7488
9 770033 248203

12 >

OFFplus⁺ camERa

INTERNATIONAL FESTIVAL
OF INDEPENDENT CINEMA

KRAKÓW 13-22.04.2012

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza



www.offpluscamera.com

Sponsor tytularny

plus⁺

Sponsorzy główni

allegro

NOBLE BANK

Mecenasi

KRAKÓW
krakow.pl

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich

Partnerzy

APART

Grolsch

kbf⁺

6

KrakowFilm
Commission

Stowarzyszenie
Sztuki
Narodowej i Międzynarodowej
OFF CAMERA

Patroni medialni

Classic

PRZE
KROJ

Gala

Art&Business

ams

onet.

tvn24

tvn



PRZE KROJ

Założony w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Elle

NIE PUBLIKUJEMY
TEGO ZDJĘCIA...



W TYM TYGODNIU

NIE PISZEMY O TYM...

... jak w Sycowie siostra zakonna rozdała dzieciom z pierwszej klasy skarbonki Caritasu z prośbą o oddanie ich zapelnionych. Szczególnie że dzieci nie bardzo rozumiały i oddały skarbonki niezapelnione po denko. Musiały dobrać.

... że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego powinna poinformować o liczbie podsłuchów, czyli fachowo „kontroli operacyjnych”, stosowanych w latach 2002-2009. ABW została do tego zobowiązana przez Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie na wniosek Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

... jak Grzegorz Lato, Cesarz Piłki Polskiej, odpięra zarzuty o wzięcie łapówki, mówiąc: „Koperta była, ale nawet do niej nie zajrzałem, została komisyjnie schowana w sejfie PZPN”. Żądamy otwarcia natychmiast, komisyjnie, sejfu

PZPN. To może uratować budżet państwa.

... że burmistrz Ursynowa podczas roboczej wizyty w Smoleńsku został zagadnięty przez tajemniczego mężczyznę, który zaprosił go do swojego garażu, zaofertował mu zakup trzech siatek ze złomem aluminiowym i resztką spodni garniturowych oraz fragmentu poszycia fotelu, które miały pochodzić z wraku rządowego tupolewa. Burmistrz nie kupił. Bo uznał, że to może być dowód w sprawie. Poinformował policję. Policja sprawę zajęła się niezwłocznie.

... że znowu bez rozgłosu minął Światowy Dzień Liczby Pi. Aż chciałoby się westchnąć jakieś 3,141592 65358979323846264338327950 2884197169399375105820974944 592307816406286208998628034 8253421170679821480865132823 06647093844609505822317253

59408128481117450284102701938 521105559644622948954930381 96... razy.

... że posłanka PiS Elżbieta Kruk krzycząc na Jana Dworaka w kwestii nieprzyznania tv Trwam miejsca na cyfrowym multipleksie, wyraziła nazbyt optymistyczne przekonanie, że wszystkie media poza tv Trwam są „mediami bolszewickiego reżimu”.

... że już wiemy, jak będzie się nazywał Stadion Narodowy. Pzu Arena. I wszystko dość niedrogo.

... czym tym razem uraczył nas prezydent Komorowski, komentując oskarżenia pod swoim adresem ze strony Jarosława Kaczyńskiego, że jest otoczony przez oficerów wywiadu. Rzucił: „Niech pan prezes rozejrzy się dookoła, czy przypadkiem nie ma groźnych zwoleńników w przeszłości terroryzmu lewackiego”.

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

O otwarciu zawodów: jedni cieszą się otwarciem, inni boją się zawodu.

MARK RACZKOWSKI



PRZED WSZYSTKIM

- 6 **Uprzejmie informujemy** o planach komercjalizacji dramatu i stołówek oraz o protestach w obronie pszczoł i przeciwko dewastacji środowiska przy okazji poszukiwania łupków
- 8 **Kto nas nabił w biomasę?!** Wmawianie Polakom, że ceny energii rosną, bo inwestujemy w zieloną energię, jest wielkim oszustwem. Płacąc rachunek za prąd, Kowalski zrzuca się na spalanie lasów w Polsce i Brazylii, na celowe blokowanie rozwoju nowoczesnej energetyki i na premie dla energetycznych bonzów – twierdzi Maciej Jarkowicz
- 13 **Naprzód!** Felieton Adama Ostolskiego
- 14 **Powalcze o więcej równości** – zapewnia pełnomocniczka rządu ds. równego traktowania Agnieszka Kozłowska-Rajewicz. A co z ustawami osłonowymi, które złagodziłyby negatywne skutki reformy emerytalnej? – pytają Anna Czerwińska i Julia Kubisa
- 16 **Rząd zaczyna reformy społeczne od końca.** To nie wydłużanie wieku emerytalnego, ale poprawa sytuacji na rynku pracy jest gwarancją wypłaty przyszłych emerytur – pisze Bartłomiej Kozek
- 17 **O nagrodzie dla poety wolności** i gdańskim festiwalu literatury pisze Aleksandra Bilewicz
- 18 **Niepubliczne hospicja** mogą zniknąć, bo Ministerstwo Zdrowia zapomniało skonsultować zmianę przepisów z prowadzącymi je stowarzyszeniami – ostrzega Magda Dobranowska-Wittels
- 19 **Zielonym okiem.** Hanna Gill-Piątek
- 20 i 24 **Obie Ameryki zrównują w prawach** związki homo- i heteroseksualne – pomimo protestów hierarchii katolickiej na południu i przy wsparciu katolickich polityków na północy. Korespondencja z USA Kazimierza Bema i z Meksyku Macieja Wiśniewskiego
- 25 **Felieton** Anny Grodzkiej

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 26 **Nie trzeba już instalować kamer czy podsłuchów.** Najskuteczniejszym narzędziem inwigilacji pracowników jest Facebook. Jak można stracić pracę przez wpisy? – tekst Barbary Gubernat
- 28 **„Obrobić bank – to jeszcze nic. Założyć bank – to dopiero jest interes”** – pisał Bertolt Brecht. Jak banki sterują demokracją, przeczytacie w książce Francois Chesnais’go
- 31 **Też pytanie!** Na najtrudniejsze pytania czytelników odpowiada Joanna Omorska
- KONIEC Z KULTURĄ**
- 32 **Wściekłe ptaki nie chcą jeść z ręki Putinowi,** chętniej wydziobałyby mu oczy. Na wystawę młodych gniewnych z Rosji zaprasza Joanna Woźniczko-Czczott
- 36 **Mieli błysk w oku i czuli impuls do podróży.** Dlatego wystąpili w największej sali w Łodzi. O „Oratorium” pisze Piotr Bielski
- 39 **Czarny piątek.** Felieton Tomasza Piątki
- 40 **W kinie: mężczyzna po przejściach.** Prywatnie: odważny obywatel. Taki właśnie jest Sean Penn zdaniem Jakuba Majmura
- 42 **O nowym pokoleniu poetów zaangażowanych** pisze jeden z nich, Przemysław Witkowski
- 44 **Nie chcą budzić litości ani lęku.** Marzą o niezależności, miłości i – choć im trudniej – o życiu jak inni. Na festiwal filmowy Upside DOWN zaprasza Marta Dzido

RECENZJE

- 45 **Muzyka:** Nizinkiewicz chwali nowe płyty Starra i McCartneya
- 46 **Książka:** Bilewicz analizuje „Niemiecką jesień” Stiga Dagermana
- 47 **Film:** Żurawiecki ma wątpliwości co do „Samotności liczb pierwszych” Constanzo
- 48 **Komiks:** Tomczuk ocenia komiks „Dziewczyna i Murzyn” Judith Vanistendael na piątkę

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 49-50 **Różności z krzyżówką** i Lewomyślnie Kurkiewicz
- 3, 4, 31, 49, 50 **Raczkowski**

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00, 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl. REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnecka, Weronika Kostyrko, Julia Kubisa, Jacek Tomczuk, Maria Świątek. ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pleszczyk, Kaliber 45. PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajło-Krajewski. PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski. FOTODŁUGA: foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur. KOREKTA: Ling Brett. OBRÓBKA ZŁOŻE, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wójcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszutek. STRONA INTERNETOWA I IPAD: serwisyiplatne@rp.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel

GREMI GRUPA

WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. Z O.O. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa. PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Jakub Maszkowski, Milena Ostolska-Bilewicz. REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09. DYREKTOR DZIAŁU AGENCYJNEGO: Filip Weichert. 22 463 01 88 reklama@presspublica.pl druk: RR Donnelley.

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł. Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195. PRENUMERATA KOLPORTERSKA oddziału Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe. PRENUMERATA E-WYDANIA www.egazety.pl. PRENUMERATA ZAGRANICZNA Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



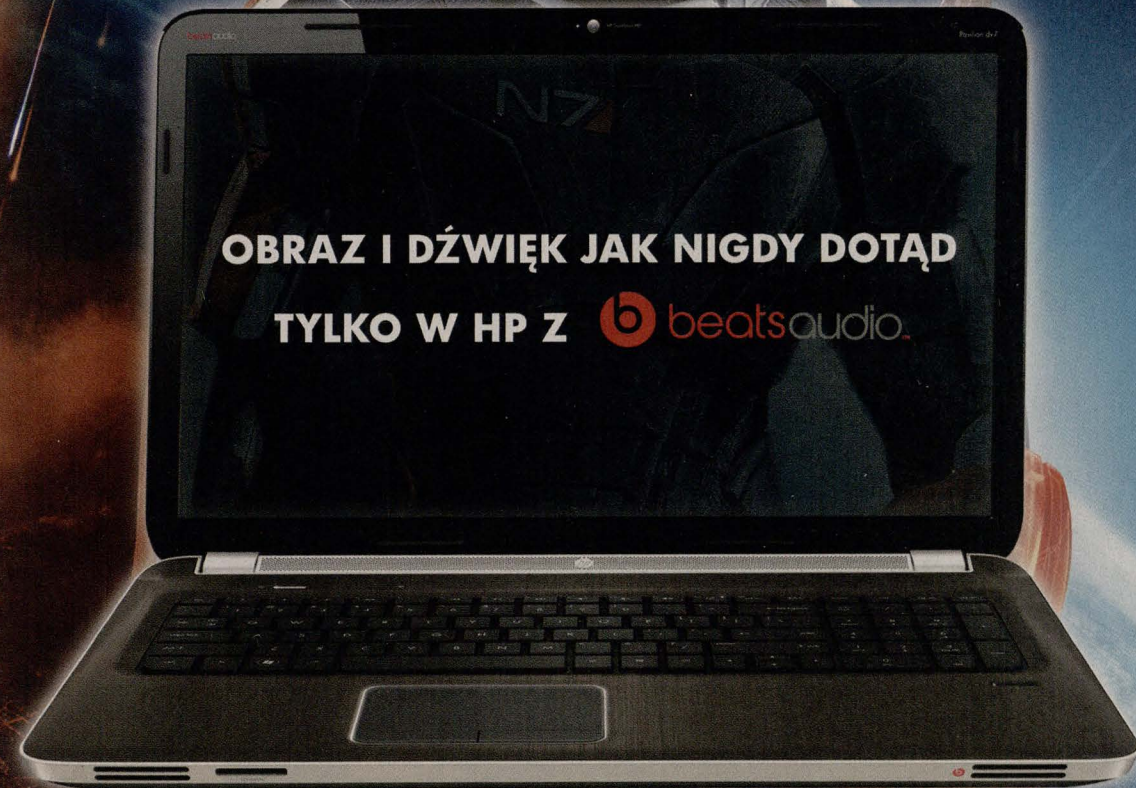
Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróć w nadesłanych artykułach i listach.



Premierową grę
Mass Effect 3
otrzymasz
w prezencie!

gra w polskiej
wersji językowej
już w sprzedaży

Everybody On



HP Pavilion dv7-6b30ew
Z procesorem Intel® Core™ i5-2430M

3099,-

SFERIS



więcej nowości HP w sklepie internetowym SFERIS.PL

© 2012 EA International (Studio and Publishing) Ltd. Mass Effect, logo Mass Effect, BioWare i logo BioWare są znakami handlowymi lub zastrzeżonymi znakami handlowymi EA International (Studio and Publishing) Ltd. w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach. Wszystkie prawa zastrzeżone. EA i logo EA logo są znakami handlowymi lub zastrzeżonymi znakami handlowymi Electronic Arts Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach.

Ultrabook, Celeron, Celeron Inside, Core Inside, Intel, Intel Logo, Intel Atom, Intel Atom Inside, Intel Core, Intel Inside, Intel Inside Logo, Intel vPro, Itanium, Itanium Inside, Pentium, Pentium Inside, vPro Inside,



TEATR DRAMATYCZNY CZY KOMEDIOWY?



O sytuacji w Teatrze Dramatycznym w Warszawie

KATARZYNA SZUSTOW opowiada Arkowi Gruszczyńskiemu (Fundacja Nowej Kultury Bęc Zmiana!)

Paweł Miśkiewicz, wraz z końcem obecnego sezonu, przestaje pełnić funkcję dyrektora Teatru Dramatycznego. Czy to prawda, że aktorzy mają do końca tygodnia przedstawić miastu swojego kandydata?

Dyrektor Kraszewski poprosił o rekomendację dla ewentualnego przyszłego dyrektora. Jaki wpływ rekomendacja ma na powołanie nowego dyrektora naczelnego – nie wiadomo. Niezły strategiczny ruch „konsultacji społecznych”, nieprawdaż?

A w jaki sposób zostanie wybrany nowy dyrektor?

Kontrakt Pawła Miśkiewicza wygasa 30 września 2012 r., czyli na początku sezonu 2012/2013.

Sposób powołania nowego dyrektora jest nieznaną obecną dyrekcji, zespołowi artystycznemu, jak i pozostałym pracownikom teatru. Sześć miesięcy przed zmianą nie znamy oczekiwań Biura Kultury w stosunku do Dramatycznego. W Niemczech przy zmianie dykcji następcą zaczyna pracę dwa lata przed objęciem stanowiska.

Szef stołecznego Biura Kultury Marek Kraszewski zaproponował połączenie wszystkich teatrów miejskich funkcjonujących w Pałacu Kultury i Nauki. Podaje przy tym argumenty o braku rentowności i opłacalności w prowadzeniu scen. Jak podchodzicie w Teatrze Dramatycznym do tego pomysłu?

Ponad rok temu, mając świadomość, że kontrakt Pawła Miśkiewicza dobiega końca, przygotowaliśmy plan rozwoju na kolejnych pięć lat. Mielśmy pomysł, by połączyć trzy sceny pod wspólnym zarządem, radą programową, połączonymi pracownikami. Profil teatru Studio

powinien zostać awangardowy i poszukujący, Duża Scena Dramatycznego powinna być miejską przestrzenią, gdzie regularnie pokazywane są najważniejsze spektakle polskie i zagraniczne oraz istotne wydarzenia z punktu widzenia tworzenia warszawskiej tożsamości, jak inauguracje festiwali, wręczenia nagród etc.

Jednak Biuro Kultury planuje komercjalizację teatrów, dając za przykład teatr Komedia.

Ma to także dotyczyć Teatru Dramatycznego. I tak na dwa miesiące przed końcem sezonu nie wiadomo, jaki profil będzie miał największy teatr miejski.

Zmiana profilu wymaga zmiany statutu, a to musi przegłosować rada miasta. To wszystko trwa, a traci na tym widz, który nie tak łatwo ufa publicznym instytucjom.

W przypadku zmiany poprzedniej dyrekcji awantury przełożyły się na drugoczący spadek frekwencji. **Dramatyczny jest jedną z nielicznych scen w Warszawie, która zaprasza do współpracy znanych reżyserów, otwiera się na debiutujących twórców, eksperymentuje...**

Czy dotychczasowa formuła jest w stanie się utrzymać?

Dotacja, którą Dramatyczny otrzymał na rok 2012, wynosi 7,2 mln zł, z czego koszty stałe to prawie 7 mln (sam czynsz to ok. 1,5 mln rocznie). Dlatego konieczne jest wynajmowanie przestrzeni na komercyjne eventy czy częste wyjazdy ze spektaklami. Pamiętajmy, że teatr, który realizuje misję publiczną, nigdy nie jest w stanie sam na siebie zarobić, bo nie to jest jego zadaniem.

Czy miasto planuje zwolnienia grupowe w nowym sezonie?

Gdy czegoś się pan na ten temat dowiedzie, to poproszę o szczegóły.

Katarzyna Szustow od 2008 r. pracuje w zespole Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy im. G. Holoubka, współtworzy kształt Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego WARSZAWA CENTRALNA, jest też współzałożycielką nieheteronormatywnej inicjatywy POMADA.

W WARSZAWIE PLANUJĄ ZAMYKAĆ SZKOLNE STOŁÓWKI

Zamykanie szkolnych stołówek to nowy pomysł władz Warszawy na oszczędności – kuchnie zostaną zlikwidowane, a przygotowywaniem posiłków dla dzieci zajmą się firmy cateringowe. Budżetowi to może nieco ulży, ale na pewno nie rodzicom, którzy będą musieli zapłacić więcej (tam, gdzie stołówki już sprywatyzowano, ceny

wzrosły średnio o 30 proc.). Droższe obiady to mniej uczniów jedzących ciepłe posiłki w szkole, a i tak około 30 proc. dzieci w Polsce jest niedożywionych. A co z kucharkami, często w średnim wieku, którym niezwykle trudno będzie o nowe zatrudnienie?

Nie pomijajmy też aspektu edukacyjnego – dzieci nie

będą już uczyć się, że jedzenie jest przygotowywane w kuchni, tylko że przywozi się je furgonetką. A posiłki będą zapewne serwowane na nieekologicznych plastikowych talerzykach.

Niedawne pomysły zamykania szkół, a teraz szkolnych stołówek to szukanie oszczędności w miejscach społecznie kluczowych.

W Krakowie podobna inicjatywa spotkała się z tak ostrym sprzeciwem, że prezydent miasta odstąpił od jej realizacji. Ale racjonalizacja budżetu miasta jest oczywiście konieczna, wszak nietrudno o przykłady absurdalnych wydatków: noc sylwestrowa za 3,6 mln, Park Fontann za 11,6 mln czy stadion Legii za 500 mln.

TOMASZ SIKORA

PROTEST PSZCZELARZY

Poważne problemy pszczoł to poważne problemy nas wszystkich – niezapylane rośliny po prostu nie będą dawały plonów („Przekrój” nr 11 z 12 marca 2012 r.). Liczba tych niezwykle pożytecznych owadów stale w Polsce spada. Zdaniem pszczelarzy jest to spowodowane użyciem chemicznych środków ochrony roślin. 15 marca pszczelarze zebrałi się na placu Zamkowym w Warszawie, aby domagać się zaprzestania stosowania groźnych pestycydów, oraz ostrzegali przed uprawami GMO, które również mogą mieć negatywny wpływ na pszczoły. Pszczelarze oczekują zmiany niekorzystnych przepisów i większego wsparcia ze strony państwa.

TOMASZ SIKORA

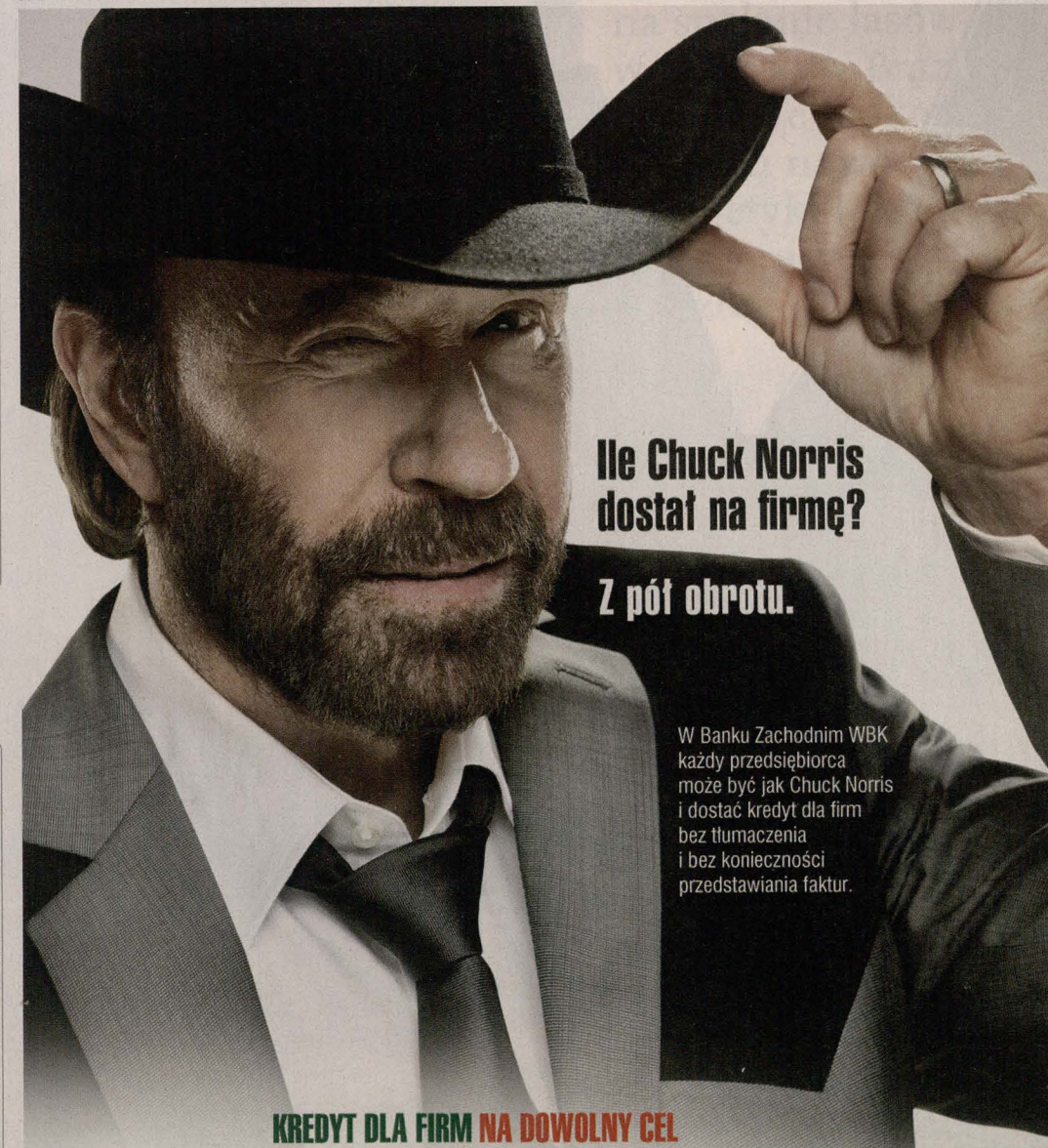
KOLEJNY KONFLIKT ŁUPKOWY

13 marca okazał się dla koncernu Chevronu pechowy. Mieszkańcy wsi Żurawłów (gm. Grabowiec) nie dali się zaskoczyć i około godz. 6 rano zablokowali wjazd na teren przyszłej wiertni, gdzie amerykański gigant poszukuje gazu łupkowego. Oburzenie mieszkańców wzrasta, bo najpierw nikt planów odwiertów z nimi nie konsultował, a teraz podwykonawca Nafta Piła nie użył platform do przewożenia ciężkiego sprzętu, niszcząc nawierzchnię drogi powiatowej.

Żurawłów protestuje nie od dziś i nie od dziś jego głos jest ignorowany („Przekrój” nr 6 z 6 lutego 2012 r.). Mieszkańcy wsi nie chcą odwiertów tak blisko swoich domów, bo obawiają się skażenia ziemi i wody, nie życząc sobie, aby na nich eksperymentowano, i zapowiadają dalszą walkę.

TOMASZ SIKORA

REKLAMA



Ille Chuck Norris dostał na firmę?

Z pół obrotu.

W Banku Zachodnim WBK każdy przedsiębiorca może być jak Chuck Norris i dostać kredyt dla firm bez tłumaczenia i bez konieczności przedstawiania faktur.

KREDYT DLA FIRM NA DOWOLNY CEL

61 856 56 16
bzwbk.pl/firmy

WBK

Bank Zachodni WBK

Szczegóły oferty, informacje o opłatach, prowizjach i oprocentowaniu dostępne w placówkach BZ WBK i pod numerem 61 856 56 16. Decyzja kredytowa uzależniona od wyniku badania zdolności kredytowej. Opłata za połączenie z numerem 61 856 56 16 zgodna z taryfą danego operatora. Stan na 12.03.2012 r.



Nabici w biomasę



Wmawianie Polakom, że ceny energii rosną, bo inwestujemy w zieloną energię, jest wielkim oszustwem. Płacąc rachunek za prąd, Kowalski zrzuca się na spalanie lasów w Polsce i w Brazylii, na celowe blokowanie rozwoju nowoczesnej energetyki i na premie dla energetycznych bonzów

MACIEJ JARKOWIEC

W Polsce działa układ koleżeński na styku polityki i biznesu, który celowo opóźnia uchwalenie ustawy o odnawialnych źródłach energii (OZE), dzięki czemu kartel koncernów energetycznych czerpie z tej zwłoki korzyści liczone w miliardach złotych – taki zarzut pod adresem rządu formułuje Robert Cyglicki z Greenpeace. Dariusz Szwed z Zielonych 2004 na demonstracji przed Sejmem krzychał: – Czas, aby społeczeństwo poznało śmierdzącą prawdę o bezsensownym niszczeniu polskich lasów i paleniu sprowadzanych z zagranicy „bio-śmieci”. W oświadczeniu jego partii czytamy: „Korporacje powiązane z rządem cynicznie wykorzystują prawo, wyciągając miliardy złotych z naszych kieszeni”.

Oskarżeniom ekologów przyklaskuje opozycja. Janusz Palikot na konferencji prasowej 2 marca 2012 r.: – To wielkie oszustwo. Współspalanie (co to takiego, wyjaśnimy za chwilę) daje możliwość wyciągania miliardowych kwot z budżetu państwa przez koncerny niemające nic wspólnego z OZE. Będziemy chcieli powołać nadzwyczajną komisję śledczą, bo być może mamy do czynienia z nieprawdopodobnym skandalem. →

→ Część naukowców jest podobnego zdania. Profesor Krzysztof Żmijewski z Politechniki Warszawskiej w lutym wywiadzie dla portalu Nowa Energia wytyka rządowi, że finansowane przez podatników wsparcie dla współspalania jest nieprzychylnie wysokie. – W efekcie wspieramy wypalanie lasów, co jest zaprzeczeniem polityki prośrodowiskowej – podsumowuje.

Co najciekawsze, ludzi wypowiadających się równie otwarcie można znaleźć w gabinetach rządowych. – Nie musi pan wyłączać dyktafonu – Kazimierz Żmuda, zastępca dyrektora Departamentu Rynków Rolnych w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, mówi łagodnie, popijając kawę. – W sprawie współspalania nie ma różnicy między tym, co myślę, a tym, co powiem do mikrofonu. Co myśli dyrektor Żmuda? – Pomimo tego, że eksperci od kilku lat krytycznie oceniają współspalanie w dużych elektrowniach, przepisy jak dotąd nie zostały zmienione, bo są niezwykle korzystne dla branży – twierdzi.

Gra w zielone

Czym jest tajemnicze współspalanie? Tu pojawia się problem, bo jest ono czym innym w teorii i czym innym w praktyce. W teorii jest produkowaniem zielonej energii

i zmniejszaniem emisji dwutlenku węgla do atmosfery. W praktyce zaś jest ładowaniem oprócz węgla drewna do kotłów w polskich elektrociepłowniach bez żadnego pożytku dla środowiska, gospodarki i społeczeństwa.

Cofnijmy się do roku 2001. Ministerstwo Środowiska przygotowuje wtedy pierwszą strategię rozwoju OZE w Polsce. Za najbardziej perspektywiczne w naszych warunkach źródło czystej energii uznaje biomasę. W założeniu ma ona pochodzić głównie od polskich rolników, a jej produkcja (między innymi z szybko rosnących odmian drzewek lub odpadów rolniczych) jest olbrzymią szansą na rozwój wsi. Rok 2004 – tzw. mała nowelizacja prawa energetycznego zalicza do OZE współspalanie biomasy. Dzięki temu realne staje się wypełnienie przez Polskę unijnego wymogu, aby do 2020 r. 15 proc. energii pochodziło z odnawialnych źródeł. Rok 2006: powstaje rynek obrotu tzw. zielonymi certyfikatami. W skrócie rzecz wygląda tak: określony procent sprzedawanej energii (co roku wyższy) ma pochodzić z OZE. Jeśli sprzedawca nie wypełni zielonego minimum, zapłaci karę. Jeśli jednak je przekroczy, dostanie od rządu wsparcie w postaci certyfikatów. Certyfikaty może sprzedać na przykład na Towarowej Giełdzie Energii.

Dyrektor Żmuda: – Tworzący te przepisy nie zdawali sobie sprawy ze skutków tych zmian. Nowe prawo szybko na swoją korzyść odczytała energetyka zawodowa i elektrownie węglowe zostały przedstawione na współspalanie biomasy.

Mówiąc prościej: koncerny energetyczne dorzucając biomasę do pieców, zbijają kokosy na opłacanych z naszych kieszeni certyfikatach. Jednocześnie, jak za dotknięciem różdżki, z największych trucicieli przeobrażają się w największych wytwórców zielonej energii. Po okresie błyskawicznych inwestycji (przerabianie kotłów pod biomasę) rozpoczyna się prawdziwy biomasowy boom. W 2007 r. 35 proc. wyprodukowanej w Polsce zielonej energii powstaje przez współspalanie w wielkich elektrociepłowniach. W roku 2010 już połowa. Problem w tym, że wyprodukowana w ten sposób energia wcale nie jest zielona.

Robert Cyglicki z Greenpeace: – Miało być pięknie, wyszło jak zawsze.

Po pierwsze: palimy lasy

Elektrownia Połaniec, wieś Zawada koło Połanicy, województwo świętokrzyskie. Jedna z największych polskich elektrociepłowni, perła gierkowskiej modernizacji. Dziś własność GDF Suez SA, międzynarodowej korporacji energetycznej dowodzonej z Francji. Każdego dnia przez bramy Połanicy wjeżdżają ciężarówki wypełnione drzewem zakupionym bezpośrednio od Lasów Państwowych. To żaden chrust, odpady czy ściłki, tylko wielkie drzewa, które mogły dalej rosnąć w lesie lub trafić do któregoś z zakładów meblarskich. Tak zwane drewno pełnowartościowe. Dopiero wielki rębak na terenie elektrowni przerabia je na biomasę, która trafia do kotłów. Wikipedia: „Połaniec [...] jest jednym z największych polskich producentów energii odnawialnej (zielonej), dzięki instalacji współspalania biomasy z węglem kamiennym”.

Rzeczniczka Lasów Państwowych Anna Malinowska przesyła nam zestawienie, które pokazuje, że pozyskanie drewna w polskich lasach na cele energetyczne rośnie od kilku lat i w 2010 r. (ostatnie pełne dane) wyniosło prawie 4,5 mln metrów sześciennych. Pani rzecznik pozwala sobie na osobisty komentarz do załączonych w e-mailu tabel: „Ogromna większość energii z odnawialnych źródeł to dziś żadne wiatraki, pompy geotermalne itp., tylko biomasę i to leśną, czyli po prostu spalanie drewna”.

Drewno kupuje większość z 55 elektrowni ciepłych w Polsce – albo bezpośrednio

od Lasów – jak Połaniec – albo przez łańcuch pośredników. Działają zgodnie z prawem, bo nie ma żadnych przepisów, które zakazywałyby przeznaczania drewna pełnowartościowego na biomasę. Zapotrzebowanie ze strony energetycznych gigantów będzie dalej rosnać, większość z nich w swoich biznesplanach stawia na dynamiczny rozwój współspalania. Dziś 80 proc. biomasy spalanej w dużych blokach pochodzi z lasu.

Na papierze palenie lasów w kotłach elektrociepłowni wygląda całkiem w porządku – emisja jest mniejsza niż przy spalaniu czystego węgla. Rzeczywistość jest jednak z reguły dużo mniej radosna niż wyliczenia urzędników. Po pierwsze wyrzwanie lasów trudno nazwać zieloną polityką. Po drugie zachwiany zostaje rynek drewna – ważne dla polskiej gospodarki papiernictwo i meblarstwo przegrywają konkurencję z energetyką. Po trzecie zwiększa się tzw. niska emisja. Żeby się o tym przekonać, wystarczy pojechać w polskie góry, wspiąć się na jakiś grzbiet i spojrzeć w dół. Autor tych słów kilka tygodni temu wspiął się na Małe Pieniny i spojrział na Szczawnicę. Mimo słonecznego dnia dusiła się w gęstej, burożółtej mgłę. Gdy rosła cena drewna opałowego – a ich wzrost przyspiesza równie gwałtownie, jak gwałtownie rozwija się współspalanie – mieszkańcy Szczawnicy i inni właściciele 4,5 mln domów jednorodzinnych w Polsce palą tańszym węglem.

Po drugie: importujemy

– Zgodnie ze swoimi planami przedstawiania obiektów na współspalanie energetyka szacuje, że za dwa lata może potrzebować od 7 do 10 mln ton biomasy, a w roku 2020 17 mln ton – podaje dyrektor Żmuda.

Żeby sprostać takiemu zapotrzebowaniu naszych elektrociepłowni, trzeba by wyróżnić polskie lasy w pień, tak jak swego czasu Anglicy wyróżnili w pień lasy Irlandii, żeby zasilać rewolucję przemysłową i budować najpotężniejszą flotę świata. Tego na szczęście nie są w stanie przeformować nawet najsprawniejsi elektroenergetyczni lobbysci. Skoro drewna w Polsce jest za mało, trzeba je przywieźć z zagranicy.

Według statystyk Ministerstwa Finansów import drewna w 2004 r. wyniósł nieco ponad 50 tys. ton, w roku ubiegłym już 600 tys. ton. Biomasy rolniczej – głównie pozostałości po produkcji oliwy i oleju

palmowego – sprowadziliśmy niecałe 200 tys. ton w 2005 r. i prawie 700 tys. ton sześć lat później. Instytut Energetyki Odnawialnej (IEO) w raporcie „O niezrównoważonym wykorzystaniu odnawialnych zasobów energii w Polsce i patologii w systemie wsparcia OZE” pisze, że biomasę przybywa do Polski z ponad 50 krajów świata, w tym tak odległych jak RPA, Indonezja czy Malezja, pokonując „tysiące kilometrów i zostawiając po drodze widoczny ślad węglowy” zaprzeczający głównej idei promocji zielonej energii, czyli ochronie klimatu. – Transport powoduje dodatkowe emisje, biomasę sprowadzając z Argentyny przestaje być zielona w okolicach Nowego Jorku – tłumaczy Cyglicki.

„Koncerny dorzucają biomasę do pieców. Jednocześnie, jak za dotknięciem różdżki, z największych trucicieli przeobrażają się w największych wytwórców zielonej energii”

Poza „śladem węglowym” problemem jest też samo miejsce pochodzenia surowca. – Importowanie biomasy na cele energetyczne z takich regionów jak Azja Południowo-Wschodnia czy Ameryka Południowa nie sprzyja ochronie klimatu – nie ma wątpliwości Żmuda. – Pomijam emisję przy transporcie, przede wszystkim wycinamy w ten sposób lasy tropikalne.

Urząd Regulacji Energetyki, który wystawia zielone certyfikaty, nie ma prawnego obowiązku sprawdzania, skąd wzięła się biomasę do produkcji zielonej energii. Interesuje go tylko, czy jest biomasą, czy nie. W praktyce oznacza to, że pod pozycją „biomasy” może równie dobrze kryć się odpad po produkcji oleju z rzepaku uprawianego na Mazowszu, jak i drzewo wykarczowane nielegalnie w brazylijskiej Amazonii.

Ekspert IEO wskazuje na jeszcze inny problem: „Promocja spalania biomasy w elektrowniach węglowych prowadzi [...] do zależności od importu paliw stałych”. A miało być dokładnie na odwrót – biomasę od polskich rolników miała dać szansę na zwiększenie naszej niezależności energetycznej.

Po trzecie: hamujemy rozwój oze

W naszych warunkach geograficznych to wiatr jest największą szansą na rozwój OZE. Z raportu IEO dowiedzieć się można, że Polska ma największy potencjał do rozwoju energetyki wiatrowej spośród wszystkich krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Działające wykorzystanie tego potencjału eksperci szacują na 2 proc. Najważniejsi europejscy inwestorzy w energię wiatrową zaczęli stopniowo wycofywać się z kraju nad Wisłą około roku 2003. Powodów jest wiele (będą one tematem jednego z kolejnych naszych tekstów o OZE), boom współspalania jest jednym z nich. Krzysztof Prasalek, prezes polskiego Stowarzyszenia Energii Wiatrowej, tłumaczy: – Postawienie na produkcję zielonej energii ze współspalania nieuchronnie powoduje nadpodaż zielonych certyfikatów, co oznacza spadek ich cen i załamanie się całego systemu wsparcia energetyki odnawialnej.

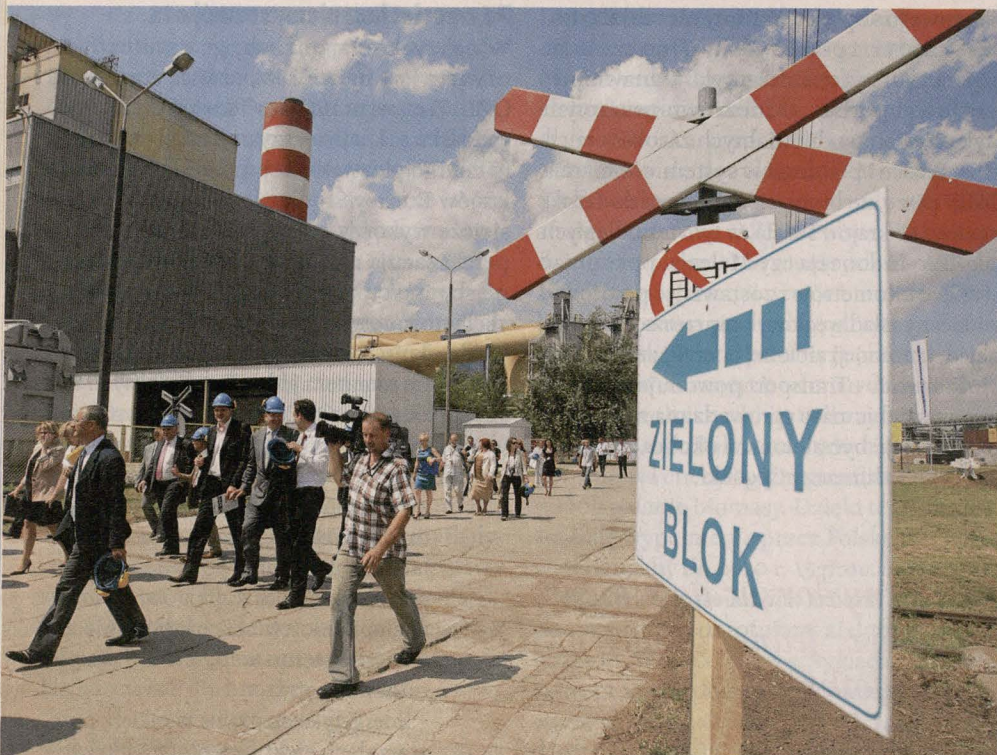
Energetyka oparta na wielkich, przestarzałych elektrociepłowniach zarabia niewiele na zielonych certyfikatach, odbiera wsparcie wiatrowcom i hamuje ich inwestycje. Prasalek przesyła nam dane. Według przybliżonych szacunków od 2006 r. współspalanie zarobiło na certyfikatach około 4,5 mld zł, trzy razy więcej niż energetyka wiatrowa. To pieniądze z kieszeni Polaków płacących rachunki za prąd. Dzięki nim wiatr wyprodukował 1600 MW prawdziwie zielonej energii. W dodatku są to tzw. nowe moce – energia z nowych źródeł, która nie powstawała w Polsce wcześniej. – Ile nowych mocy powstało w tym czasie w energetyce konwencjonalnej dzięki 4,5 mld zł pozyskanym od odbiorców energii? – pyta Prasalek.

Odpowiedź: zero. Elektrociepłownie mimo ogromnego wsparcia nie wytwarzają żadnych nowych mocy, bo wcześniej też produkowały energię. Nigdy nie nastąpił też zapowiadany przed dekadą boom na produkcję biomasy w rolnictwie. Żeby sprostać zapotrzebowaniu elektrociepłowni, trzeba by pod uprawę roślin na biomasę przeznaczyć obszar dwóch dużych województw. To nierealne, nawet jeśli państwo dałoby zainteresowanym produkcją biomasy rolnikom wsparcie, którego dziś nie otrzymują. Jak zauważa Żmuda, przedstawienie elektrociepłowni na biomasę doprowadziło do tego, że rozwój OZE w Polsce (a raczej jego brak) odbywa się →



Elektrownia Turów koło Bogatyni należąca do PGE

Kacper Kowalski / FORUM



Polanica, 21 lipca 2010. Uroczystość wkopania kamienia węgielnego pod budowę największego na świecie bloku energetycznego opalanego biomasą

→ na wzór energetyki korporacyjnej. Produkcja energii nadal pozostaje pod kontrolą potężnych wytwórców. Tymczasem powinno się budować system rozproszony, w którym gospodarstwa domowe i zakłady pracy są biorcami energii, ale jednocześnie jej wytwórcami dostarczającymi nadwyżki do sieci – tłumaczy Żmuda.

Lokalna produkcja powstaje wtedy dzięki niewielkim farmom wiatrowym, nawet pojedynczym wiatrakom, panelom słonecznym, geotermii, biokotłowniom, biogazowniom i innym odnawialnym źródłom. Lokalni wytwórcy tworzą nowe, niezależne sieci energetyczne. Taki system od lat z powodzeniem budowany jest choćby w Austrii czy w Niemczech – kraju większym i bardziej uprzemysłowionym od Polski. Przetawienie na taki model, poza korzyściami dla środowiska i wyeliminowaniem dławiących polską energię strat w przesyłce, daje kopa regionom do rozwoju, wyrównuje szanse. – Ogromne obszary wiejskie są dziś w Polsce energetycznie upośledzone – przekonuje Żmuda. – Nie tylko pod względem ilości, ale też jakości energii. Znam firmy, gdzie na jednej linii produkcyjnej brakuje kilku megawatów. Taka strata przekłada się na produkcję, konkurencyjność, zatrudnienie, na możliwości rozwoju całej okolicy.

Na razie jednak szansa na nową, rozproszoną energię w Polsce nie ma, bo giganty wtargnęły w branżę przeznaczoną dla maluczkich.

Oszustwo

Podsumujemy: od 2006 r. koncerny energetyczne zarobiły na współspalaniu 4,5 mld zł. Przypomnijmy też, że rynek energii w Polsce jest w rękach czterech grup kapitałowych – PGE, Tauron, Enea, Energa – do których należą setki podmiotów: od kopalni, przez elektrownie, po firmy handlujące energią i dostarczające ją do odbiorców. Nie jest tajemnicą, że największa z tych grup – kontrolowana przez państwo PGE (40 proc. udziału w rynku produkcji energii w Polsce, jeden z największych graczy w Europie Środkowo-Wschodniej) – opleciona jest siatką działaczy PO. W serii zeszłorocznych publikacji „Puls Biznesu” naliczył ich 40 tylko w radach nadzorczych i zarządach spółek należących do grupy, nie wliczając dyrektorów i kierowników. Na początku marca nowym prezesem PGE został Krzysztof Kilian, jeden z najdawniejszych przyjaciół premiera Donalda Tuska. Warto przypomnieć też postać Jana Burego, wiceministra skarbu i szefa Klubu Parlamentarnego PSL. W maju 2011 r. pod lupę wzięło go CBA. Agencję zainteresowało 50 proc. udziałów w firmie SO-RES,

które minister zakupił 3 stycznia 2011 r., rozszerzając jednocześnie jej działalność o handel energią i biomasą. Po interwencji CBA i burzy medialnej minister pozbył się udziałów. Stanowiska nie stracił, za złamanie ustawy antykorupcyjnej premier ukarał go nagana. Przyjaciel Burego jeszcze z czasów ZWM Zenon Daniłowski jest głównym dostawcą biomasy do Elektrowni Kozienice (grupa Enea).

Zgodnie z wytycznymi Unii Europejskiej ustawa o OZE, która uregulowałaby między innymi kwestię współspalania, powinna powstać do końca 2010 r. Ciągłe jej nie ma i nie wiadomo, czy uda się ją uchwalić w tym roku. Na razie jej projekt jest krytykowany przez większość ekspertów. Dyrektor Żmuda mówi, że „dokument wygląda, jakby pisało go kilka osób, nie konsultując się ze sobą”.

Ministerstwo Gospodarki obiecuje, że nowe prawo ograniczy współspalanie, a docelowo wyłączy je z systemu OZE. Greenpeace szacuje, że każdy miesiąc zwłoki w uchwaleniu ustawy oznacza kilkadziesiąt dodatkowych milionów złotych wpływów do kas koncernów energetycznych.

Wysyłamy pytania do Departamentu Energetyki Odnawialnej w Ministerstwie Gospodarki: Dlaczego prace nad ustawą o OZE trwają tak długo? Jak ministerstwo odpowie na zarzut, że wprowadzenie nowego prawa jest opóźniane celowo, by grupy energetyczne mogły dalej zarabiać na współspalaniu?

W odpowiedzi osoba z Departamentu Komunikacji Społecznej niepodpisana żadnym nazwiskiem tłumaczy urzędniczym językiem między innymi, że „opóźnienie w przekazaniu projektu do konsultacji wynikało z konieczności koordynacji przepisów przedmiotowego projektu z projektami ustaw – Prawo gazowe oraz Prawo energetyczne”, oraz zapowiada „dalszą intensyfikację prac nad przedmiotowym projektem ustawy”. Nie sposób gdziekolwiek doszukać się odpowiedzi na zarzut celowego opóźniania.

Tymczasem w opinii naukowców, ekologów, opozycji, a nawet niektórych urzędników sprawa jest prosta: grupa ludzi na styku władzy i biznesu niszczy środowisko i wstrzymuje modernizację polskiej energetyki, hamując tym samym cywilizacyjny rozwój kraju. Połowa zielonej energii w Polsce nie jest zielona, tylko bardziej czarna niż węgiel. Wszyscy Polacy płacący rachunki za prąd są po prostu oszukiwani. Zostaliśmy nabici w biomasę.



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu
jest socjologiem

... lepszy czy gorszy? Też pytanie. Wszyscy tyle razy słyszeliśmy odpowiedź. Że może z tą wojną w Iraku nie wszystko poszło tak różowo, jak zapowiadali, ale przecież nikt nie zaprzeczy, że świat bez Saddama jest lepszy. Jest lepszy, jest lepszy, lepszy... odpowie echo. Bo przecież chyba nie gorszy?

Okrągła rocznica wojny to dla komentatorów temat samograj. Tuszę więc, że i tym razem trafi do nas z głośnika czy ze szpalty dobra nowina: świat bez Saddama jest lepszy. Ta magiczna formuła sprawia, że wszystkie nauki, jakie moglibyśmy ewentualnie wyciągnąć z tej wojny, stają się nieistotne. Ale co to właściwie znaczy „świat bez Saddama”? Czyżby świat, w którym żyjemy, był mniej więcej taki sam jak przed wojną w Iraku, tylko uwolniony od jednego paskudnego dyktatora? Gdybyśmy mieli do wyboru pewien świat z Saddamem i dokładnie ten sam świat, tyle że bez Saddama, to nie byłby trudny wybór. Pewnie byłby jakoś lepszy. Tyle że świat, w którym faktycznie żyjemy, nie jest tylko „światem bez Saddama”. Zilustrujmy to prostym przykładem. Jeśli ktoś powie nam, że uśmiechnięty pan w muszce wydaje mu się sympatyczniejszy niż patrzący bykiem łysy mężczyzna w dresie, zapewne nas to nie zdziwi. Ale gdybyśmy przypadkiem dowiedzieli się, że pan w muszce trzyma w rękach upieczone na różnie ludzkie niemowlę i częstuje nim przechodniów, moglibyśmy po-

Świat bez Saddama jest...

czuć się oszukani. W końcu ważny aspekt sytuacji został przed nami zatajony.

W świecie po wojnie w Iraku pieczonych niemowląt jest legion i nie tak łatwo je zataić. Czym konkretnie jest ów nowy wspaniały świat bez Saddama? To przede wszystkim świat z Guantánamo i Abu Ghraib, Bagram i Kiejkutami... To również świat, w którym zwykli ludzie są bardziej niż kiedykolwiek narażeni na to, że padną ofiarą ataku terrorystycznego albo że będą torturowani z powodu podejrzenia o terroryzm. To świat coraz głębszej inwigilacji obywateli i kurczącej się prywatności. To świat, w którym zawieszają się podstawowe prawa człowieka, domniemanie niewinności, zakaz tortur czy habeas corpus, w którym, krótko mówiąc, policja ma coraz więcej uprawnień, a zwykli ludzie coraz mniej. To świat zaludniony po obu stronach frontu rosnącą rzeszą ludzi okaleczonych przez wojnę. To także świat informacji kontrolowanej, w którym dziennikarzom na niesłychaną wcześniej skalę utrudnia się pisanie o tym, jak faktycznie wygląda wojna, zaś ludzie ujawniający zbrodnie państw i korporacji, jak Bradley Manning czy Julian Assange, traktowani są przez prawo jak zbrodniarze, podczas gdy rzeczywistych zbrodniarzy uznaje się najwyżej za ofiary niedyskrecji...

Co właściwie robimy, nazywając tę rzeczywistość „światem bez Saddama”? Wygląda to trochę jak niezasłużony komplement („gdyby Saddam żył, to by do tego nie dopuścił”). A jak by się zmieniło nasze widzenie sytuacji, gdybyśmy nazwali ją np. światem z Guantánamo? Czy zdanie „świat z Guantánamo jest lepszy” brzmiałoby równie bezproblemowo?

Askoro już zadajemy sobie takie pytania, to warto się jeszcze zastanowić, co znaczy „lepszy”. Nadzieja na to, że świat może być lepszy, towarzyszyła przecież nie tylko milionom Europejczyków, którzy przeciw wojnie protestowali, ale także tej garście, która wojnę ze szlachetnych pobudek popierała. Uświadomiłem to sobie podczas jednej z demonstracji przed ambasadą Chińskiej Republiki Ludowej.

To była rocznica masakry na placu Tiananmen, ale organizatorzy nie chcieli, żeby protest sprowadzał się do przywalania Chińczykom, wskazywali więc na inne przypadki łamania praw człowieka, w tym na wojnę w Iraku. Decyzja ta nie wszystkim przypadła do gustu. Pewien starszy pan oburzył się, że można to w ogóle porównywać. Przecież wojna w Iraku jest po to, żeby prawa człowieka chronić. A w Iraku za Saddama były tortury! Na ripostę, że przecież Amerykanie torturują więźniów w Guantánamo, pan odpowiedział „Pożyteczni idioci! Tak się kiedyś na takich mówiło: pożyteczni idioci”. I sobie poszedł.

Żałuję, że ta rozmowa nie trwała dłużej. I że nie można było do niej wrócić później, gdy prasa pokazała zdjęcia z Abu Ghraib. Czy oburzony pan sprzed ambasady, który przyszedł bronić praw człowieka przed komunistami, zmieniłby zdanie pod wpływem wiedzy o tym, jak Amerykanie torturują więźniów? Nie wiem. Wiem jednak, że nie kusiło mnie, by odwrócić zarzut bycia pożytecznym idiotą. W postawie mojego oponenta, jakkolwiek głęboko się mylił w sprawie Iraku, było coś, co szanowałem: pragnienie, żeby na świecie nie było tortur.

Czyżby więc po obu stronach sporu o Irak byli tacy sami idealisci? To byłaby oszukańcza symetria. Warto pamiętać o różnicy między posiadaniem ideałów a idealizacją, o której pisała w eseju napisanym po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej brytyjska psychoanalityczka Hanna Segal. Idealizacja zniekształca rzeczywistość, to „idealizowanie siebie oraz własnych lub grupowych idei kosztem paranoidalnego nastawienia do innych”. Jeśli wierzymy, że świat stanie się lepszy, gdy tylko usuniemy z niego paru złych facetów, to prawdopodobnie właśnie ulegamy tej postawie. Posiadanie ideałów jest czymś zupełnie innym. To „situacja, kiedy ma się nadzieję na lepszą przyszłość – na przykład na pokój – i kiedy się do tego dąży, uznając zarazem, że jest to bardzo trudne i że przeszkody mają swoje źródło nie tylko w innych, ale też w nas samych”.

Powalczę o więcej równości

Jeśli chcemy zachęcić Polki do rodzenia dzieci, dofinansujemy im emerytury z budżetu państwa – z pełnomocniczką rządu ds. równego traktowania **AGNIESZKĄ KOZŁOWSKĄ-RAJEWICZ** rozmawiają Anna Czerwińska (Feminoteka) i Julia Kubisa

Anna Czerwińska: Środowiska kobiece żądają ustaw, które złagodzą negatywne skutki reformy emerytalnej. Na liście ich propozycji są kursy przekwalifikowujące, ograniczenie możliwości zawierania umów śmieciowych czy obowiązek oferowania stanowisk pracy dla osób 50+. Tymczasem z wypowiedzi premiera i ministra finansów wynika, że rząd chciałby załatwić reformę emerytur „bezkosztowo”.

Agnieszka Kozłowska-Rajewicz: Premier nie chce uzależniać wydłużenia wieku emerytalnego od reformy całej polityki społecznej. Jeżeli to zrobimy, nigdy nie wydłużymy wieku emerytalnego, bo na kompleksowe zmiany polityki społecznej dziś po prostu nas nie stać.

Bardzo się jednak cieszę, że przy okazji zmiany emerytalnej premier tak często spotyka się z kobietami w różnym wieku, o różnym wykształceniu i doświadczeniach. Może się dowiedzieć, co myślą o swojej pracy zawodowej i domowej, o roli państwa. Słyszysz, co polskie kobiety mówią o wychowywaniu dzieci, o żłobkach, przedszkolach, edukacji. Wierzę w deklaracje premiera, że takie spotkania będą się odbywały cyklicznie.

Julia Kubisa: Jak państwo może pomóc kobietom, które będą mieć bardzo niskie emerytury, bo przez dłuższy czas zajmowały się dziećmi i mają niewielki staż pracy?

– Państwo powinno kompensować im czas opieki, płacąc wyższe składki ZUS – także kobietom niezatrudnionym na etacie, które obecnie nie mają prawa do urlopu wychowawczego. Potrzebne są programy rozwojowe dla kobiet, które ułatwiłyby im poruszanie się po rynku pracy, a także konkretne szkolenia w poszukiwanych na rynku zawodach.

Jestem przeciwna propozycjom PSL, żeby skrócić wiek emerytalny z powodu urodzenia dziecka, bo to rykoszetem uderzałoby w same kobiety. Po krótkim czasie pracy emerytura będzie dramatycznie niska. Nie podoba mi się też warstwa ideologiczna, że wychowywanie dzieci to jest zadanie kobiet, w którym nie uczestniczą mężczyźni.



Lukasz Ogrodowczyk/AGENCJA GAZETA

pracować i zawsze pracę miałam. Rozumiem jednak, że nie każdy ma takie doświadczenia. Nie bez znaczenia jest też to, że moje pokolenie wychowało się już w dość przyjaznym otoczeniu – w porównaniu z pokoleniem naszych rodziców.

Ja nie prałam pieluch w pralce frani, używałam jednorazowych; nie chodziłam na piechotę do szkoły, w pracy mogłam używać Internetu i komórki. Doświadczyłam innej jakości życia niż moi rodzice i dziadkowie. Wyobrażam sobie, że pokolenie urodzonych w latach 90. i później jest w jeszcze lepszej sytuacji niż ja.

Czerwińska: Wśród moich znajomych trzydziestoparolatków może dwie – trzy osoby pracują na etacie. My na emeryturę nie liczymy, nie mamy ubezpieczeń. W czyim interesie jest reforma proponowana przez rząd?

– Przede wszystkim kobiet. Obecny system emerytalny jest dla nich niesprawiedliwy. Mają o kilkadziesiąt procent niższe świadczenia, bo pięć lat wcześniej odchodzą na emeryturę. Kiedy granica wieku jest wysoko ustawiona, to opłaca się pracownika szkolić i awansować, a wyszkolonego trudniej zwolnić. Dlatego wyrównanie wieku emerytalnego to dla mnie sprawa podstawowa, niezależnie od tego, czy to jest 65, 67 czy 70 lat.

Kubisa: A może zamiast koncentrować się na wieku, powinniśmy jednak zacząć dyskusję o całości polityki społecznej?

– Ale my musimy pracować dłużej, inaczej czekają nas głodowe emerytury. Badania pokazują, że ludzie nie boją się pracować dłużej, oni boją się przede wszystkim tego, czy będą mieli pracę przez cały ten czas. Ale za 20 lat na rynku będzie brakowało ponad miliona rąk do pracy i pracodawcy będą zabić o pracowników bardziej niż dziś.

Dziś pracodawcy nie doceniają 60-latków. Dlatego musimy budować zespoły wielopokoleniowe, nauczyć się korzystać z doświadczeń starszych ludzi, dbać o to, by byli w stanie ciągle się uczyć i adaptować do rynku.

To jest równie ważne jak dyskusja o dietności, a na pewno pilniejsze. Nawet jeśli od dziś nagle zaczęłoby się rodzić dużo dzieci, to one wejdą na rynek pracy dopiero za 20, 30 lat.

Kubisa: Reforma z 1999 r. nie uregulowała sytuacji kobiet, które zajmują się dziećmi bądź osobami zależnymi, ani ludzi, którzy pracują w szarej strefie. Teraz znowu rząd szkicuje kierunek zmian z myślą oownikach etatowych.

– I pracodawcach. W kancelarii premiera z inicjatywy 13 wielkich firm podpisano Kartę różnorodności. Pracodawcy dobrowolnie zobowiązali się w niej do prowadzenia aktywnej polityki równościowej, która wykorzystuje potencjał obu płci i różnych grup wiekowych. Oni już się przekonali, że zespół wielopokoleniowy lepiej przewiduje oczekiwania różnorodnych klientów, a klienci, spotykając się z osobami w różnym wieku i różnych płci, czują się znacznie bezpieczniej w kontakcie z firmą.

Tymczasem ja pracuję z innymi urzędami nad klauzulami społecznymi, które pozwolą stawiać warunki przy zamówieniach publicznych, np. że firma ma zatrudniać dany procent osób w różnym wieku lub że do przetargu mogą wystartować jedynie te firmy, które prowadzą politykę równościową.

Czerwińska: Na razie to rzadka praktyka nawet w administracji publicznej... Czy jak zreformujemy emerytury mundurowe i krus oraz podwyższymy wiek emerytalny, to znajdą się pieniądze na aktywizację zawodową, na wsparcie socjalne?

– W nowej perspektywie finansowej Unii Europejskiej (w latach 2014–2020 – przyp. red.) uruchomimy duże programy społeczne, naślawione na trenowanie „miękkich” umiejętności, elastyczności w myśleniu i działaniu, kreatywności, dobrej organizacji.

Trudno przewidzieć, jakie specjalizacje będą potrzebne za 20 czy 30 lat, dlatego musimy się skupić na tych podstawowych umiejętnościach, a konkretne szkolenia zawodowe wprowadzać stopniowo w miarę rozpoznawania potrzeb. Mamy czas – kobiety osiągną wiek emerytalny 67 lat w roku 2040.

Minister pracy już uruchomił za 40 mln zł program pilotażowy dla młodych ludzi. Będą bony na mobilność, szkolenia.

Kubisa: Gdy potencjalne babcie będą w pracy, konieczna będzie konkretna oferta dotycząca systemu opieki. Na spotkaniu z Kongresem Kobiet premier powiedział, że im dłużej trwa dyskusja na ten temat, tym jego pozycja jest słabsza. Czy rozmowy o pakiecie osłonowym skończą się na etapie konsultacji?

– Premier nie konsultuje pakietu osłonowego, tylko przy okazji rozmowy o emeryturach słucha głosu kobiet. Decyzje zapadają potem w konkretnych resortach.

Senator Mieczysław Augustyn z grupą ekspertów pracuje nad projektem bonu opiekuńczego, który pozwoli osobom niezdolnym do samodzielnego życia lub ich opiekunom prawnym wykupić m.in. usługi opiekuńcze przy wsparciu finansowym państwa. To rozwiązanie może nie będzie wprowadzone natychmiast, ale jest duża szansa, że ktoś się zań stanie, jak je wbudować w budżet państwa.

Na nowe żłobki potrzebne są konkretne pieniądze z budżetu, a wprowadzona w poprzedniej kadencji reguła wydatkowa powoduje, że nie możemy zwiększyć deficytu ponad 55 proc. Najpierw rozważamy więc te rozwiązania, które mieszczą się w obecnym bilansie.

Czerwińska: Samorządy, na które spadło finansowanie żłobków, przy pierwszej okazji starają się ich pozbyć. Mamy skrajny przykład Kalisza, gdzie samorząd postanowił sprywatyzować wszystkie przedszkola.

– Prywatne żłobki wcale nie muszą być gorsze i droższe. Ustawa pozwala, podobnie jak to jest z przedszkolami, na dofinansowanie także tych żłobków, które prowadzi prywatna firma. Samorządy narzekają, że nie mają pieniędzy. Czasami faktycznie ich nie mają, a czasami nie mają inicjatywy.

Ustawa pozwala zakładać mikrożłobki w prywatnych mieszkaniach. Gmina zatrudnia opiekuna dziennego do pięciorga dzieci, przeznaczając na jego utrzymanie na przykład 5000 zł, w czym mieści się jego pensja, koszt żywienia dzieci i środki czystości. Jeśli rodzice wnoszą do mikrożłobka po 400 zł, to gmina musi dopłacać do pięciorga dzieci 3000 zł. To dwa razy mniej niż w żłobku zbiorowym!

W Poznaniu mimo wielu dyskusji urzędnicy nie widzą ani korzyści finansowej, ani psychologicznej z mikrożłobków, tymczasem Wrocław planuje otworenie w najbliższych dwóch latach 160 punktów dziennej opieki. Zarządzanie miniżłobkiem oddaje organizacji pozarządowej, która zatrudnia wolontariuszy do pomocy opiekunowi.

Kubisa: Państwo, za pośrednictwem samorządu, zleca zadania systemowi opieki organizacjom pozarządowym, które korzystają z pracy wolontariuszy – i to wszystko, żeby zapewnić usługę publiczną, jaką jest żłobek?

– Alternatywa jest taka, że płacimy 1200 zł za dziecko w zbiorowym żłobku. Wtedy dwa razy mniej osób może skorzystać z opieki żłobkowej.

Kubisa: Chcemy oprzeć system opieki na nieodpłatnej pracy domowej kobiet i nieodpłatnej pracy wolontariuszy?

– Wolontariat nie jest formą wyzysku. Są ludzie, którzy chcą pracować nieodpłatnie na rzecz innych osób. Wolontariat na całym świecie jest sposobem na zdobycie doświadczenia, praktyki zawodowej. W Polsce mamy niski poziom zaufania społecznego i mało organizacji pozarządowych, ale to się zmienia.

Kubisa: Idea wolontariatu nie polega na zastępowaniu pracy odpłatnej, tylko jej uzupełnianiu.

– Widziałam w holenderskiej szkole rodziców pomagających dzieciom w trakcie lekcji. U nas nie ma zwyczaju, żeby włączać się w zadania, które są finansowane z budżetu państwa.

Jestem gorącą zwolenniczką tego, żeby samorząd podejmował partnerstwo publiczno-prywatne i partnerstwo z organizacjami pozarządowymi, bo często potrafią one za mniejsze pieniądze dać usługę lepszej jakości i jeszcze zintegrować wokół tych działań społeczność lokalną.

Czerwińska: Budżet państwa składa się z naszych podatków. Skoro koniecznie trzeba wydłużyć wiek emerytalny, to chyba mamy prawo oczekiwać, żeby rząd rozbudował system opieki.

– Wydłużanie wieku emerytalnego nie da większych pieniędzy w budżecie państwa, tylko uchroni nas przed biedą na emeryturze.

Kubisa: A co z emeryturami dla ludzi, którzy pracują na umowach śmieciowych, od których nie płaci się żadnych składek?

– Związki zawodowe proponują, żeby składka emerytalna była płacona niezależnie od rodzaju umowy. Zgadzam się z tym.

Kubisa: Czy jest szansa na wydłużenie urlopów ojcowskich?

– Będę zabiegać o dłuższy okres urlopu rodzicielskiego z możliwością wymiany pomiędzy rodzicami. Uważam, że przepisy powinny otwierać się na partnerstwo kobiet i mężczyzn właśnie po to, żeby kobiety nie były pokrzywdzone na rynku pracy.

Kubisa: Czy możemy się spodziewać polityki zmierzającej do równego wynagradzania za pracę tej samej wartości, nie tylko na tych samych stanowiskach, ale też między sektorami?

– Równa płaca między sektorami – w to wątpię. Ale prowadzę konkretne rozmowy na temat instrumentów, które pozwoliłyby na zrównanie płac na tych samych stanowiskach, w tych samych zawodach. Mam na myśli obowiązek sprawozdawania na temat równości płac, specjalne kalkulatory do przeliczania wskaźników równości.

BARTŁOMIEJ KOZEK

Plany podniesienia wieku emerytalnego opierają się na wyselekcjonowanych danych, mających potwierdzać słuszność działań podejmowanych przez rząd Donalda Tuska. Gołym okiem widać jednak brak kompleksowego myślenia o polityce społecznej i selektywne posługiwanie się argumentem odpowiedzialności za przyszłość.

Rządowa narracja jest dość prosta – wszyscy dookoła podwyższają wiek emerytalny, zatem powinniśmy podwyższyć go i my. W przeciwnym razie grożą nam głodowe emerytury lub wysokie podatki. Rząd nie dąży jednocześnie do obniżenia deficytu Funduszu Ubezpieczeń Społecznych przez poprawę sytuacji na rynku pracy i wspomaganie dzieciństwa. Według rządu pierwsze efekty poprawy współczynnika dzietności odczujemy najprędzej w 2040 r. Nie ma też mowy

społecznych i ustabilizowanie wypłacania przyszłych emerytur. Tymczasem brakuje rządowych planów ograniczenia zjawiska umów śmieciowych, które znacząco ograniczają (poprzez niższy poziom składek) wpływy FUS.

Kto się zajmie dziećmi

Rząd chwali się wzrostem współczynnika dzieci w wieku trzech–pięciu lat objętych opieką przedszkolną z 43 proc. w roku 2007 do 65 proc. w 2011. Nadal jednak w 555 gminach, z czego 95 proc. to gminy wiejskie, brak jakiegokolwiek placówki opiekuńczej dla dzieci do szóstego roku życia.

Mimo przedwyborczych obietnic częściowego współfinansowania opieki przedszkolnej ze środków publicznych rząd PO – PSL do tej pory nie zrealizował postulatu Związku Nauczycielstwa Polskiego, domagającego się objęcia przedszkoli subwencją oświatową. Bez tego już istniejące placówki mogą być zagrożo-

nię, głównie na eksport firmy cieszą się zwolnieniami podatkowymi. Operując najczęściej w rejonach o wysokim bezrobociu i niskich zarobkach, nie mają bodźców, by konkurować ze sobą innowacjami zamiast taną pracą. Doświadczenia kobiet pracujących na umowach śmieciowych albo na etatach za płacę minimalną, wykonujących wielogodziną, monotonną pracę, tracących sporo czasu na dojazd do domu do fabryki i odwrotnie, nie wskazują na duże prawdopodobieństwo długiego i zdrowego życia.

Revolucja postawiona na głowie

Podwyższanie wieku emerytalnego w sytuacji, gdy – wedle najnowszych badań Eurostatu – stopa zatrudnienia osób w wieku 55–59 lat wyniosła w 2010 r. 45,8 proc. (najniższy poziom w Unii Europejskiej!), a w wieku 60–64 lat tylko 19,1 proc., nie wygląda na dobrą receptę. Polski rząd chwali się realizowaniem programu

W Gdańsku w dniach 20–24 marca odbędzie się II edycja Festiwalu Literatury Europejski Poeta Wolności. Głównym punktem programu organizowanej przez miasto Gdańsk imprezy będzie wręczenie nagrody Europejskiego Poety Wolności. Trafi ona do autora lub autorki z jednego z ośmiu krajów – oprócz Polski w każdej edycji losuje się siedem państw europejskich. W tym roku do rywalizacji przystępują Turcja, Norwegia, Hiszpania, Niemcy, Czechy, Albania i Ukraina.

Wylosowane kraje wybierają autora lub autorkę wierszy, które podejmują „jeden z najistotniejszych dla współczesności temat – wolności”. Zwycięzcą pierwszej edycji konkursu w 2010 r. został białoruski poeta Uładzimir Arlou.

Tomy zgłoszonych przez poszczególne państwa autorów zostały przetłumaczone na język polski przez specjalnie powołany zespół tłumaczy i tłumaczek oraz wydane w festiwalowej serii nakładem wydawnictwa słowo/obraz terytoria.

Wśród nich znalazł się: „Der ganze Weg” Norweżki Kristin Berget, głos o płci,

Wolność i poezja w Gdańsku

Poetki i poeci z ośmiu krajów już drugi raz powalczą o tytuł Europejskiego Poety Wolności



Rafał Guz

kobiecej cielesności i wyzwaniu się z jarzma języka. Hiszpański poeta Pablo Garcia Cassado w „Pieniądzech” przemawia w imieniu ofiar pogodni za zyskiem i uzasadniającego ją systemu. Albanka Luljeta Lleshanaku przygląda się kondycji człowieka

szukającego godności w czasach, gdy jednostka liczy się najmniej, a Serhij Żadan w tomie „Etiopia” nawiązuje do ukraińskiej awangardy początku XX w., krążąc wokół motywów rastafariańskich. Turcję reprezentuje Tozan Alkan (tom „I wiatr”), Niemcy – Durs Grünbein („Mizantrop na Capri”), a Czechy – Petr Halmay („Tylne »Światła«”). Polskim kandydatem do nagrody jest Ryszard Krynicki z tomem „Kamień, szron”.

Wręczenie nagrody odbędzie się 24 marca w teatrze Wybrzeże w Gdańsku. W tej edycji konkursu po raz pierwszy zostanie także przyznana nagroda dla tłumacza. W jury zasiadają nie tylko literaci (Paweł Huelle) i tłumacze (Andrzej Jagodziński), ale również Krzysztof Pomian, Agnieszka Holland, Krzysztof Czyżewski, Zbigniew Mikołajko, Stanisław Rosiek i Anda Rottenberg. W czasie festiwalu odbędą się spotkania autorskie, debaty, koncerty, przegląd filmowy i gra miejska.

Szczegółowy program na www.europejski-poetawolnosc.pl.

ALEKSANDRA BILEWICZ

Niewidzialna ręka emerytur

Rząd zaczyna reformy społeczne od końca. To nie wydłużanie wieku emerytalnego, ale poprawa sytuacji na rynku pracy jest gwarancją wypłaty przyszłych emerytur

o poluzowaniu polityki migracyjnej, wymienianym w „Polsce 2030” jako jedno z rozwiązań sytuacji demograficznej.

Po pierwsze: praca

Rząd broni się przed zarzutami, że wydłużanie wieku produkcyjnego powodować będzie zajmowanie przez osoby starsze miejsc pracy osobom młodym, prezentując zaobserwowaną przez OECD korelację między wysoką stopą zatrudnienia osób starszych a analogicznym zatrudnieniem dla osób młodszych. Owszem, korelacja jest, ale między osobami w wieku 20–24 oraz 55–59 lat. Nie ma analogicznej korelacji w wypadku podniesienia wieku emerytalnego – ten bowiem dotknąć ma w Polsce osoby w wieku od 60. do 67. roku życia. Trudno zakładać, że nowych miejsc pracy podstawnie odpowiednio dużo, by utrzymać zatrudnienie dla osób w wieku 50+ i zapewnić zatrudnienie dopiero wchodzącym na rynek pracy.

W polskich realiach to nie wydłużanie wieku emerytalnego, ale właśnie poprawa sytuacji na rynku pracy daje większe szanse na zmniejszenie deficytu Funduszu Ubezpieczeń

ne zamknięciem lub prywatyzacją przez szukające oszczędności samorządy. A bez odpowiedniej ilości żłobków i przedszkoli z rynku pracy nadal wypadać będą nie tylko matki dzieci, ale też babcie, które mimo pozostawania w wieku produkcyjnym rezygnują z pracy na rzecz opiekowania się wnuczętami.

Średnia kobieta nie istnieje

Jak z każdym uśrednianiem, także uśrednianie oczekiwanej długości życia niesie ryzyko pominięcia zjawisk, które nie wpisują się w sielankowy obraz coraz zdrowszych i coraz bogatszych Polek i Polaków. Można zaprezentować wizję sięgających ok. 3,5 tys. emerytur, która ma się zmaterializować dzięki podwyżce wieku emerytalnego w wypadku przeciętnego wynagrodzenia, tyle że zapomina się, że dziś zarobki poniżej średniej otrzymuje dwie trzecie z nas. Można też pokazywać, że w 2060 r. kobiety w Polsce żyć będą niemal 90 lat, zapominając choćby o doświadczeniu kobiet pracujących w specjalnych strefach ekonomicznych.

Jak w swoich badaniach zauważył Think Tank Feministyczny, produkujące w nich

„50+. Solidarność pokoleń”, jednak jego efekty są mizerne. Wystarczy porównać polskie wskaźniki zatrudnienia osób w grupach wiekowych 55–59 i 60–64 do analogicznych w Wielkiej Brytanii (70,8 i 44 proc.), Niemczech (71,5 i 41 proc.) i Holandii (70,1 i 37,3 proc.).

Ze względu na różnice w wysokości świadczeń debata na temat zrównania wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn wydaje się potrzebna. W kraju sporego bezrobocia, nierówności w dostępie do rynku pracy między kobietami i mężczyznami, łamania praw pracowniczych, umów śmieciowych i niskich nakładów na opiekę zdrowotną wydaje się jednak, że rząd Platformy Obywatelskiej – nie po raz pierwszy – zaczyna reformy od końca. Już raz z jednej reformy emerytalnej – będącej wynikiem wiary w magiczne działanie niewidzialnej ręki rynku – musiał częściowo się wycofywać. Oby za kilka lat kolejna ekipa rządząca nie była zmuszona łątać dziur, które zlecewał Donald Tusk.

Bartłomiej Kozek jest publicystą „Zielonych Wiadomości”.

REKLAMA

Wypasione tablety do wygrania co godzinę

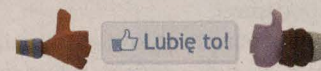
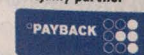
Samsung Galaxy Tab 10.1 w konkursie z FunPackiem HD!

www.konkurstp.pl

tp

Konkurs trwa w dniach od 9 marca 2012 r. do dnia 20 kwietnia 2012 r. i jest skierowany do Klientów, którzy złożyli zamówienie na pakiet usług FunPack HD (Internet z usługą TV i Telefonią Internetową i pakietem platformy „n”), FunPack (Internet z usługą TV i Telefonią Internetową) oraz aktywują pakiet i umieszczają na stronie hasło promujące usługę w trakcie trwania konkursu. Każdy uprawniony Klient może zgłosić dowolną liczbę haseł w konkursie. Komunikat „do wygrania co godzinę” dotyczy sposobu publikacji listy laureatów konkursu, do której w każdy dzień roboczy w godzinach 9–19 dodawane jest co godzinę jedno zwycięskie nazwisko. Szczegóły w regulaminie promocji na www.konkurstp.pl, w salonach TP i Orange oraz pod numerem 801 505 505 (koszt połączenia wg cennika operatora).

Oficjalny partner



Płać za śmierć

Niepubliczne hospicja mogą zniknąć, bo Ministerstwo Zdrowia zapomniało skonsultować zmianę przepisów z prowadzącymi je stowarzyszeniami

MAGDA DOBRANOWSKA-WITTELS



Dla około 150 hospicjów prowadzonych przez organizacje pozarządowe (39 proc. funkcjonujących obecnie) początek tego roku jest nerwowy. W życiu wchłodzi nowa ustawa o działalności leczniczej, z której wynika, że niepubliczne zakłady opieki zdrowotnej muszą stać się przedsiębiorstwami.

Firma lub koniec działalności

W praktyce oznacza to, że stowarzyszenia, fundacje i zakony, które do tej pory prowadziły działalność medyczną non profit (np. hospicyjną i opiekuńczą), będą zmuszone do 1 lipca 2012 r. zarejestrować działalność gospodarczą i stać się przedsiębiorstwami pracującymi na zysk.

Problem w tym, że jest to sprzeczne z podstawową zasadą dotyczącą prowadzenia działalności gospodarczej przez organizacje pozarządowe: może ona jedynie uzupełniać działalność statutową. Organizacje, dla których świadczenie usług medycznych non profit było podstawową działalnością, stanęły więc przed dylematem: albo przekształcić się w firmy ze wszystkimi tego konsekwencjami, albo odeśłać pacjentów do domów (jeśli pacjenci posiadają domy). Hospicja prowadzone przez niektóre zgromadzenia zakonne w ogóle nie mają się nad czym zastanawiać, ponieważ ich statuty wprost zabraniają prowadzenia działalności gospodarczej.

– Te przepisy oznaczają koniec organizacji non profit na polu opieki hospicyjnej, paliatywnej czy wszelkiej działalności

w ochronie zdrowia – mówi ks. Andrzej Dziedziul, dyrektor Ośrodka Hospicjum Domego w Warszawie.

Oznacza to także, że rocznie bez pomocy zostanie od 3 do 4 tysięcy osób potrzebujących opieki terminalnej oraz tysiące innych chorych wspieranych przez organizacje pozarządowe.

Kontrakty z NFZ nie wystarczają

Organizacje prowadzące hospicja mają zazwyczaj kontrakty z NFZ, jednak kwoty te pokrywają tylko 50–80 proc. rzeczywistych kosztów i nie pozwalają objąć opieką wszystkich potrzebujących. Hospicja uzupełniają te „dziury” m.in. z 1 proc. Przekształcenie ich w przedsiębiorstwa pozbawiłoby je tej możliwości. Są jednak i takie organizacje, które nie mają kontraktów z NFZ i działają tylko dzięki wsparciu społecznemu. Po zmianie przepisów i likwidacji tzw. niepublicznych zakładów opieki zdrowotnej byłoby to już niemożliwe.

Organizacje interweniowały w Ministerstwie Zdrowia. Sprawą zainteresowały także Radę Działalności Pożytku Publicznego, działającą przy ministrze pracy i polityki społecznej. W interesie organizacji wystąpiła rzeczniczka praw obywatelskich, a problem nagłośniły media. Na efekty na szczęście nie trzeba było długo czekać. Już pod koniec lutego minister Bartosz Arłukowicz zapowiadał w wypowiedziach prasowych, że zostaną przeprowadzone odpowiednie zmiany prawne, które umożliwią kontynuację działalności hospicyjnej. W ubiegłym tygodniu Departament Organizacji Ochrony Zdrowia poinformował, że jest

już projekt założeń do zmiany ustawy o działalności leczniczej, w którym uwzględniono propozycje zapisów napływające ze strony organizacji pozarządowych.

Teraz liczy się czas: jeżeli przepisów nie uda się zmienić do 1 lipca, część organizacji będzie musiała zaprzestać działalności leczniczej, ponieważ nie mogą lub nie zdążą w tym terminie zarejestrować działalności gospodarczej. Czy ustawę uda się znowelizować na czas? – Nie ma innej opcji – mówi Ewa Wójcik z Departamentu Organizacji Ochrony Zdrowia. – Mamy nadzieję, że wszystko będzie nam sprzyjać i uda się tę nowelizację sprawnie przeprowadzić przez Sejm.

Zabrakło konsultacji: to błąd

Dlaczego organizacje nie wyrażały sprzeciwu wcześniej, gdy ustawa była uchwalana?

– Ustawa była prowadzona w trybie pilnym, nikt się nie zorientował, co się kroi – przyznał ks. Dziedziul. Problem polega jednak na tym, że ustawa o działalności leczniczej – chociaż ingerująca w ich pracę – nigdy nie była konsultowana z fundacjami i stowarzyszeniami. Projekt nie trafił także do zaopiniowania przez Radę Działalności Pożytku Publicznego, chociaż zmienił brzmienie przepisów dotyczących wolontariatu w ustawie o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie. W nieoficjalnych rozmowach przedstawiciele ministerstwa przyznają, że był to błąd z ich strony.

Magda Dobranowska-Wittels jest dziennikarką portalu organizacji pozarządowych www.ngo.pl.

Polska to Warszawa



HANNA GILL-PIĄTEK

Autorka felietonu jest koordynatorką świetlicy Krytyki Politycznej w Łodzi

Papuga Zebek zanim stała się papugą, była pieskiem. Pieskiem Lubo. W wyniku intensywnego uprawiania (PPP) piesek Lubo przestał postrzegać siebie jako psa, skurczył się, wyemigrował w głąb klatki i wykształcił dziób dla obrony. Tak został papugą Zebkiem. Ale przepraszam, to chyba inny felieton. Zaczniemy jeszcze raz.

Polska zanim stała się Warszawą, była Polką. Były w niej wieś i miasta, dobre i złe rzeczy oraz – jak twierdzi autor „Podręcznika dla klasy pierwszej”, a prywatnie właściciel Zebka – szczególnie dużo ogórków. W wyniku intensywnej koncentracji w stolicy władzy, biznesu, mediów i jeszcze kilku innych czynników decydujących o wzroście PKB (wskaźniki wskazujące na co innego są zakazane) nastąpiła symboliczna redukcja Polski do Warszawy. A od kilku lat nie tylko symboliczna, ale także faktyczna. Wiele w tym racji, bo na przykład żeby nakręcić materiał dla TV, dajmy na to z Radomia, wystarczy wyjść na warszawską ulicę, gdzie spotyka się więcej radomian niż w ich rodzimym mieście. To samo dotyczy wywiadów z łódzianami, ostrołęczanami, lublinianami czy mieszkańcami Łomży. Nawet nasz ulubiony Jarosław Marek Rymkiewicz w „Kinderszenen” obwieścił nam, że wydarzeniem najbardziej konstytuującym polskość było powstanie warszawskie. Jeśli twój dziadek czy babcia nie brali w nim udziału – masz pecha, a twoja polskość jest mocno wątpliwa.

Poza granicami Polski (Warszawy) rozpościera się wielkie „nic”. Na to „nic” najlepiej nic nie dawać. Stąd inicjatywa „STOP janosikowe”, która cieszy się szerokim poparciem miejskich radnych. Jest w tym pewna logika: skoro na warszawskie janosikowe pracują ludzie pochodzący z „nic”, to tak jakby tego janosikowego nie było. Zatem nie potrzeba wcale go płacić. Jest też pewien problem z ustaleniem granic „nic”. Na pewno takie dzielnice jak dalekie Bielany, Wesoła czy Białołęka do Polski nie należą. Administracyjnie owszem, bo trzeba mieć gdzie lokować uciążliwe komunalne inwestycje, spalarnię śmieci, trasy szybkiego ruchu, śmierdzącą na kilometry sortownię odpadów. Z tych inwestycji korzystają przecież „wszyscy warszawiacy” (wszyscy Polacy). Ale mentalna granica Polski przebiega znacznie bliżej centrum. Strach pomyśleć, co będzie, jeśli jeszcze bardziej się skurczy. Wyobrażam sobie walkę pomiędzy warszawskim ratuszem a kancelarią premiera, które wydzielają sobie białą-czerwoną flagę. Dzieli je przecież kilka ładnych kilometrów.

Według tej logiki projekty kontrowersyjne, jak elektrownia atomowa, powinny znajdować się w „nic”. Wtedy ich koszty społeczne czy środowiskowe nie będą istotne, bo ich nie będzie. Natomiast rzeczy polskie, narodowe, należy lokować w Polsce. Na przykład narodowe instytucje kultury. W świetle tej logiki pewien niepokój budzi fakt, że Instytut Książki z Krakowa czy Muzeum II Wojny Światowej z Gdańska nie zostały jeszcze przeniesione do Warszawy. Ale ten błąd już nie zostanie powtórzony, bo tworzone na mocy znowelizowanej ustawy Polskie Centrum Kinematografii, które miało powstać w zamorskim mieście Łodzi, na pewno zagości na Chełmskiej w Polsce na „W”. Co prawda w Warszawie znajdują się już trzy instytucje o podobnym zakresie działania: FilMOTEKA Narodowa, Polski Instytut Sztuki Filmowej i Narodowy Instytut Audiowizualny. Ale przecież zawsze przyda się jeszcze czwarta. To nic, że w Łodzi, która od dziesięcioleci rośnie na filmowych tradycjach, znaj-

dują się zbiory, wytwórnie, filmówka. Najlepiej byłoby je jak najszybciej zabrać z „nic” i przenieść do Warszawy. A wszelkie zabiegi o zmianę tej decyzji odważnie nazwać „prowinjonalną mrzonką”.

Smaku całej sprawie dodaje to, że Polskie Centrum Kinematografii tworzone będzie z powiększającej się centralnej puli środków na kulturę. Chwali się tym minister Zdrowiejski. Pula rośnie głównie dzięki mrówczej pracy Obywateli Kultury i ich kampanii o zwiększenie zasobów, którymi minister dysponuje, do 1 proc. z całego rządowego budżetu. Jest to również zasługa wszystkich, którzy udzielili inicjatywie szerokiego poparcia. Podpisy zbierano dosłownie wszędzie w kraju: w bibliotekach, w domach kultury, w teatrach, na festiwalach. Również w Ostrołęce, Lublinie czy Łodzi. Polskie Centrum Kinematografii w Warszawie na starcie pochłonie ok. 370 mln zł, a cały jego koszt szacowany jest na ponad miliard. Jest to dobra odpowiedź na pytanie często zadawane na lokalnych spotkaniach promujących ruch: co stanie się ze środkami z 1 proc.? Co my tutaj z tego będziemy mieć?

Otóż, drodzy mieszkańcy „nic”, zgodnie z waszym miejscem zamieszkania nie będziecie mieć nic. Obiecywana decentralizacja, nie tylko w dziedzinie kultury, nie nastąpi. Za to będziecie mogli być dumni, że budujecie Polskę. Polskę na „W”. Tam siedzą ci, co naprawdę potrafią zrobić coś z niczego.



KAZIMIERZ BEM Z USA

Dziś małżeństwa jednopłciowe są ważne w siedmiu stanach i Waszyngtonie. Wiele wskazuje, że w tym roku dołączą co najmniej trzy nowe. Co zaskakujące, wśród polityków zmierzających do legalizacji takich związków dominują katolicy.

Pierwsze legalizacje małżeństw jednopłciowych w USA nastąpiły na drodze orzeczeń stanowych sądów najwyższych, które uznawały zgodnie, że nie ma żadnych naukowych badań, które by potwierdzały zarzuty pod ich adresem. A zatem odmawiając legalizacji ślubów jednopłciowych, stany bezpodstawnie dyskryminują pewną grupę społeczną, to zaś narusza zasadę równego traktowania. W innych stanach ustawy przegłosowywały parlamenty. Prawdziwa batalia rozegrała się jednak w stanie Nowy Jork.

W samym mieście żyje spora grupa wykształconych, zamożnych i wpływowych gejów, od lat zabiegających o prawne uregulowanie związków jednopłciowych. I choć od dawna większość mieszkańców stanu była tej idei przychylna, tamtejsi republikanie skutecznie blokowali głosowanie nad ustawą. Gdy w 2009 r. ówczesny gubernator wymusił wreszcie głosowanie, zabrakło wymaganej większości. I choć zwolennicy małżeństw jednopłciowych wygłaszały bardzo elokwentne przemowy w Senacie – konserwatyści wspierani przez Kościół katolicki wstawali, cedzili przez zęby „nie” i siadali. „Nie, bo nie” wystarczyło. Ale tylko do czasu.

Parada radości

Wszystko zmieniło się w 2010 r. Nowy gubernator, demokrat Andrew Cuomo, w kampanii ogłosił,

że zrobi wszystko, by takie małżeństwa wreszcie wprowadzić. Gdy objął urząd, słowa dotrzymał – zabiegał o niezbędne głosy wśród republikanów, w czym pomagał mu republikański bur-

i konserwatywni żydzi, prezbiterianie, anglikanie, baptyści, unitarianie, metodyści, a nawet świeckie grupki katolików. Obserwowało nas i wiwatowało ponad 2 mln osób. Gdy bur-

w świeckim stanie nie może narzucać nauczania moralnego swojej wspólnoty religijnej innym. A zwłaszcza nauczania, z którym zupełnie się nie zgadza.

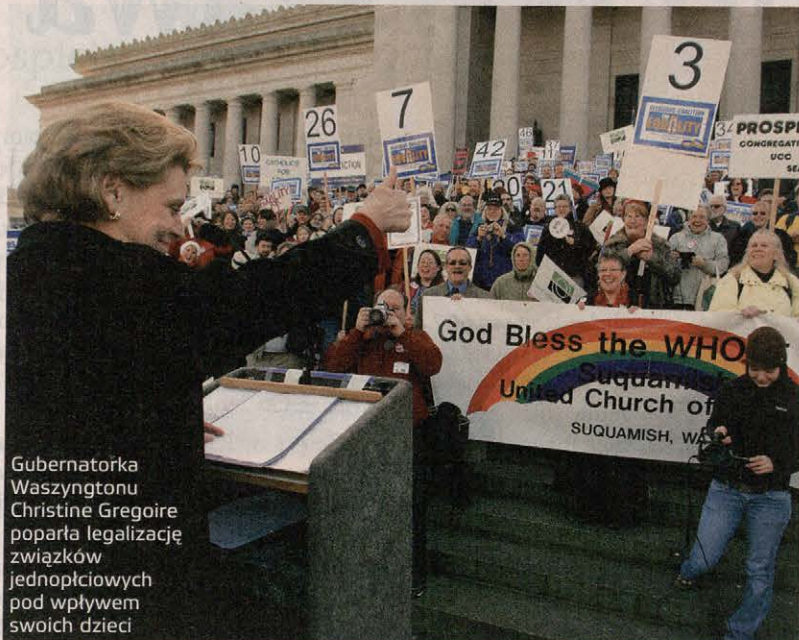
Stanowego senatora Jamesa Alesiego (republikanina) do głosowania „za” przekonała jego matka, praktykująca katoliczka. – Zagłosuj „za” – miała mu powiedzieć przed swoją śmiercią. – Stań po stronie sprawiedliwości i za to, co sprawiedliwe!

Inny republikanin i katolik Mark Grisanti akurat z nauczaniem swojego Kościoła się zgadzał, ale zagłosował „za”, bo – jak powiedział – skoro Kościołom dano gwarancje prawne, żeby nikt ich do takich ceremonii nie zmuszał, to nie ma powodu, by odmawiać świeckich cywilnych ślubów parom jednopłciowym: „To kwestia równego traktowania”.

Zarówno Cuomo, jak i Alesio oraz Grisanti doskonale też wyczuli nastroje wśród amerykańskiego społeczeństwa. W tym roku liczba Amerykanów, którzy popierają małżeństwa jednopłciowe, przekroczyła magiczne 50 proc. Co ciekawe, katolicy stanowią grupę najbardziej im sprzyjającą – ponad 60 proc. Więcej poparcia geje i lesbijki mają już tylko wśród reformowanych żydów! Wśród katolików poniżej 30. roku życia „za” małżeństwami opowiada się już prawie trzy czwarte.

Biskupi w obronie związków partnerskich

W tym roku kolejną batalię otworzył gubernator stanu Waszyngton Christine Gregoire. W bardzo emocjonalnym wystąpieniu powiedziała, że z tą kwestią zmagala się przez wiele lat, gdyż jest wierzącą i praktykującą katoliczką. Jednak teraz doszła do wniosku, że używanie argumentów religijnych do dyskryminacji pewnej grupy społecznej



Gubernatorka Waszyngtonu Christine Gregoire poparła legalizację związków jednopłciowych pod wpływem swoich dzieci

Marryland

Benedykt XVI mówi „nie” małżeństwom jednopłciowym. A w USA to katolicy politycy prowadzą skuteczną walkę o ich legalizację, odwołując się właśnie do zasad moralnych swojej religii

mistrz Nowego Jorku Michael Bloomberg. W czerwcu zeszłego roku stan Nowy Jork zalegalizował wreszcie śluby homoseksualne. O tym, jak bardzo popularna była ta decyzja, przekonałem się osobiście, gdy 25 czerwca razem ze swoimi parafianami i tysiącami innych szedłem w gigantycznym radosnym pochodzie z tej okazji Piątą Aleją. Oprócz przedstawicieli mojego Kościoła maszerowali reformowani

mistrz Bloomberg i gubernator Cuomo pojawili się na pochodzie, aplauz, jaki dostali, był dosłownie ogłuszający. Co ciekawe, Andrew Cuomo jest politykiem niekryjącym swoich związków z katolicyzmem. Zdobywał wykształcenie na katolickich uczelniach. Jego żoną była przedstawicielka rodziny Kennedych, a więc katolickiej arystokracji USA. Ale wielokrotnie powtarzał, że jako gubernator

jest w świeckim państwie niedopuszczalne.

Podkreśliła też, co bardzo znamienne, że na zmianę jej zdania wpłynęły także rozmowy z własnymi dziećmi, które namawiały ją do zagłosowania „za”. Skoro Kościoły i związki wyznaniowe otrzymają stosowne gwarancje prawne, nie ma powodu, by dalej dyskryminować obywateli GLBTQ w jej stanie. Dzięki jej postawie obie izby stanowego parlamentu przegłosowały stosowną ustawę, a gubernator Gregoire podpisał ją w obecności kamer. Jeśli przeciwnicy nowego prawa nie wymuszą referendum, pary jednopłciowe będą mogły zawierać małżeństwa już w czerwcu. Co znamienne, sporą grupę polityków, którzy zagłosowali „za”, stanowią katolicy: zarówno demokraci, jak i republikanie.

Jeszcze ciekawiej jest w stanach New Jersey i Maryland. W New Jersey gubernatorem jest republikanin i katolik Chris Christie, który po uchwaleniu ustawy o małżeństwach jednopłciowych szybko ją zawetował. Jednak w ostatniej chwili zrobił wolę i zaproponował referendum w tej sprawie. Większość mieszkańców stanu New Jersey małżeństwa jednopłciowe i tak poprze, ale Christie liczy, że w ten sposób uniknie odium homofoba i zachowa twarz. A to mogłoby mu w przyszłości zaszkodzić – marzy bowiem o wiceprezydenturze. Sytuacja w stanie jest taka, że nawet do katolickich biskupów dotarło, iż muszą zmienić strategię i język, bo ich argumenty nikogo już nie przekonują. Zamiast straszyć małżeństwami geje, zaczęli podkreślać, że istniejące w stanie związki cywilne w zupełności wystarczą i są wręcz wyśmienite. Jest to o tyle znamienne, że wcześniej je zawzięcie krytykowali.

Dyskryminacja nieuzasadniona

Zacięta debata odbyła się także w stanie Maryland. Założony

w XVII w. jako schronienie dla angielskich katolików stan ten prawie zalegalizował małżeństwa jednopłciowe w 2011 r. Wtedy ustawa jednak ugrzęzła w komisji. W tym roku gubernator Martin O'Malley, wierzący i praktykujący katolik, zapowiedział, że tak jak Andrew Cuomo ustawę przechnie przez parlament. Biskupi i wspierający ich czarni pastory prowadzili zawziętą walkę w obronie status quo, ale w lutym tego roku ustawa większością jednego głosu przeszła przez stanową niższą izbę parlamentu. Co ciekawe, decydujący głos oddała wierząca i praktykująca katoliczka, która powiedziała, że jest osobiście przeciwna takim małżeństwom, biorąc jednak pod uwagę gwarancje dla Kościołów, nie może swoimi wierzeniami uzasadniać dyskryminacji współobywateli. Po uchwaleniu tej ustawy przez senat gubernator O'Malley zapowiedział, że podpisze tę ustawę jak najszybciej.

Oczywiście nie wszyscy katolicy politycy są tak progresywni. O nominację na prezydenta stara się ultrakonserwatywny katolik Rick Santorum, który – jak drwił popularny program telewizyjny „SNL” – tak bardzo nienawidzi gejów, że nawet ubiera się fatalnie. Nawrócony na katolicyzm Newt Gingrich też stoi na straży tradycyjnej definicji małżeństwa – choć jego wiarygodność podważa fakt, że wielokrotnie zdradzał swoje kolejne żony, a w najbardziej stabilnym związku w jego rodzinie jest lesbijka.

Jak widać, w USA pojawia się coraz większa grupa polityków, którzy zdają sobie sprawę z tego, że żaden z argumentów „przeciw” małżeństwom jednopłciowym nie ma uzasadnienia: ani naukowego, ani moralnego, ani prawnego. Pozostały już tylko uprzedzenia i bigoteria, które coraz trudniej uzasadnić przed wyborcami.

Kazimierz Bem jest pastorem ewangelicko-reformowanym (UCC) w USA, publicystą protestanckim i współpracownikiem Instytutu Obywatelskiego.



„Znakomicie napisany i świetnie wyreżyserowany film ze znakomitymi rolami Julianny Margulies i Andy'ego Garcii” – ViewLondon

ANDY GARCIA
JULIANNA MARGULIES
ALAN ARKIN
EMILY MORTIMER

TRIBECA
FILM FESTIVAL
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI

JUŻ NA
DVD
VIDEO



Z RODZINKĄ NAJLEPIJ WYCHODZI SIĘ NA ZDJĘCIU

CITY ISLAND

Film w stylu „American Beauty” i „Małej Miss”

WZECZPOLSKA rp.pl PRZEKROJ UWAŻAM RZE
iplex.pl HIRO students.pl MOJE.INFO Wieszjak.pl
FUTU.PL PORTAL SKARBEC.BIZ STOPKATKA.PL GREMIFILM PRODUCTION



Wolność i nienawiść

Kraje Ameryki Łacińskiej przeszły przez burzliwą debatę i dziś są w awangardzie państw zrównujących w prawach związku homo- i heteroseksualne

**MACIEK WIŚNIEWSKI
Z MEXYKU**

Przez wieki niesprawiedliwe prawa zakazywały małżeństw białych z czarnymi, Indian z Europejczykami oraz odmiennych form miłości. Dziś te bariery zniknęły – mówi lewicowy deputowany po przyjęciu przez miasto Meksyk prawa o małżeństwach jednopłciowych pod koniec 2009 r. Od tego czasu w stolicy odbyło się 700 ślubów. Powodzeniem cieszą

się też związki partnerskie od sześciu lat funkcjonujące w regionie Coahuila, zrównujące w prawach pary hetero- i homoseksualne, m.in. w kwestiach opieki społecznej, dziedziczenia i adopcji.

Ustawy zostały opracowane przez środowiska gejowskie, obrońców praw człowieka i centrolewicową Partię Rewolucji Demokratycznej (PRD). Przeciwno byli konserwatyści z Partii Akcji Narodowej (PAN) i Partii Rewolucyjno-Institucjonalnej (PRI), głos zabrała także hierarchia katolicka.

Mimo że Kościół opowiedział się oficjalnie przeciwko dyskryminacji homoseksualistów, postawa biskupów pokazała jednak, że nie jest on wolny od homofobii. Jedni grzmieli, że „nawet psy nie uprawiają seksu z osobnikami tej samej płci”. Inni traktowali homoseksualizm jak chorobę psychiczną lub utożsamiali go z pedofilią. Arcybiskup Juan Sandoval mówił: – Wątpię, czy ktoś chciałby być adoptowany przez parę pedałów. Straszyl, że w rodzinach jednopłciowych dzieci „skończą jako geje”.

„Tutaj nie ma argumentów i przekonywania. Tylko ignorancja i nędza języka” – pisał Jenaro Villamil, publicysta tygodnika „Proceso”. Podkreślał także brak autorytetu meksykańskiego Kościoła w kwestii troski o dzieci. Przywołał m.in. pedofilskie skandale księdza Marciala Maciela, założyciela Legionu Chrystusa, przez dekady wykorzystującego małoletnich członków zgromadzenia, a także własnych synów. „Czy arcybiskup Sandoval nie wie, że większość homoseksualistów, biseksualistów

i transseksualistów wychowała się w domach heteroseksualnych? Czyżby jego przyjaciel ks. Maciel molestował nieletnich chłopców, bo był adoptowany przez »parę pedałów«?» – pytał Villamil.

Biskup Raúl Vera z Saltillo w Coahuila jako jeden z nielicznych hierarchów twierdził otwarcie, że także w Kościele machistowskie kalki utrudniają uznanie godności gejów i lesbijek. Bronił też ich prawa do adopcji, dodając, że tradycyjny model rodziny ulega przemianom.

O zmianach mówi także profesor Joan Wallach Scott z Uniwersytetu Princeton: – „Tradycyjna rodzina” sama ulega erozji, wystarczy przeanalizować wzrost liczby rozwodów i dzieci wychowywanych przez jednego rodzica. Debata wokół małżeństw jednopłciowych obnażyła słabość tej instytucji. A homoseksualiści są kołem ofiarnym mającym odwrócić uwagę od tego, co nie działa w „tradycyjnym małżeństwie”.

Komu po drodze z homofobią

W miarę, jak stolica się liberalizuje, reszta stanów umacnia się na pozycjach konserwatywnych. 44 proc. Meksykanów deklaruje, że nie chciałoby mieszkać z gejem; 50 proc. uznaje homoseksualizm za „czynnik ryzyka”. Po wprowadzeniu w mieście Meksyk związków partnerskich na prowincji zwarto przeciwko nim szeregi, tworząc klimat bezkarności dla homofobii: liczba ataków na homoseksualiści wzrosła o 80 proc. W ciągu ostatnich 10 lat zanotowano w kraju ponad tysiąc morderstw „z nienawiści”.

Stowarzyszenie na rzecz Lesbijek, Gejów, Biseksualistów i Transseksualistów oskarża o podsycanie klimatu wrogości prezydenta Felipe Calderóna (PAN). Według stowarzyszenia nie tylko sprzeciwia się on związkowi jednopłciowemu, ale i skrzętnie usuwa problematykę LGBT z publicznego dyskursu. Na przykład Dzień Walki z Ho-

mofofobią i Transfobią (obchodzony na świecie 17 maja na pamiątkę skreślenia homoseksualizmu z listy chorób WHO) przemianował na Dzień Tolerancji i Poszanowania Różnic. Dopóki rząd nie przygotuje i nie wprowadzi narodowej polityki przeciwko homofobii, zbrodnie z nienawiści nie ustaną – podkreślają aktywiści. Prawa osób o orientacji homoseksualnej są podnoszone coraz mocniej także w innych krajach Ameryki Łacińskiej. Homoseksualizm nadal jednak pozostaje przestępstwem w kilku z nich, głównie na Karaibach (na Jamajce, Barbados, w Belize).

Na Kubie doktryna zwana ironicznie „machizmem-leninizmem” traktowała homoseksualizm jako „burżuazyjne odchylenie”, a geje, jako element antyspołeczny, łądowali w obozach pracy. Od kilku lat homofobia przestała być jednak „politycznie poprawna”: sam Fidel Castro przyznał, że prześladowania i brak swobód seksualnych były jednym z większych błędów rewolucji. W lipcu związki partnerskie mają zostać na Kubie zalegalizowane. Wiele w tym zasługi Marieli Castro, córki Raúla, obecnego szefa państwa, dyrektorki Narodowego Centrum Edukacji Seksualnej (Cenesex), która wprowadziła temat LGBT do polityki i wywalczyła darmowe operacje zmiany płci.

„Gazeta Wyborcza” informowała o zmianach na Kubie w tekście zatytułowanym „Castro odpuszcza lesbijkom i gejom” (19 stycznia 2012 r.). Tradycyjnie krytykując Kubę, dostrzegła w ostatnich wydarzeniach tylko mimetyzm, „zmianę skóry komunistycznej dyktatury”, podczas gdy wprowadzane tam zmiany wykraczają daleko poza „polityczną odwilż”, czyniąc z tego kraju jeden z najbardziej zaawansowanych w kwestii praw LGBT na świecie. I jeśli nawet Castro jest w stanie przyznać się do tragicznej pomyłki, dlaczego nie miałby „odpuścić” Calderón, a może nawet Tusk z Komorowskim? ➔

REKLAMA

Na płycie aplikacja na iPhone'a

AKADEMIA PRAWA JAZDY

Test na kategorii B

Wybierz pytanie:

5

6

7

8

9

10

11

Zostań kierowcą!

Sprawdź, jak zmieniły się przepisy.

W Akademii Prawa Jazdy znajdziesz komplet pytań testowych na wszystkie kategorie, film z egzaminu praktycznego, a także ponad 140 tras egzaminacyjnych.

W poniedziałek i wtorek (19 i 20 marca)

– Dwuczęściowa Akademia Prawa Jazdy

W środę (21 marca)

– Kodeks drogowy z najnowszymi przepisami tylko z „Rzeczpospolitą”

Wydania z płytami i książką dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.

Kodeks drogowy z komentarzem

AKADEMIA PRAWA JAZDY

Testy 2012

Testy 2013

Testy 2012

Testy 2013

RZECZPOSPOLITA

rp.pl/hity

→ „Plan demona celem zniszczenia kraju”

W lipcu 2010 r. Argentyna – jako 10. kraj na świecie – przyjęła ustawę o małżeństwach osób jednej płci. Jak mówi Esteban Paulón, przewodniczący Argentyńskiej Federacji Lesbijek, Gejów, Biseksualistów i Transseksualistów (FALGBT), równie ważna jak sama ustawa była kilkumiesięczna debata publiczna ją poprzedzająca: „Zdekonstruowaliśmy wiele uprzedzeń, przesądów, niewiedzy i uzyskaliśmy prawie 70-procentowe poparcie dla tego projektu”. Jego rzecznikami, obok środowisk gejowskich i organizacji obrony praw człowieka, byli prezydentka Cristina Fernández de Kirchner, jej mąż Néstor Kirchner i ich peronistowska Partia Justycjalistyczna.

Duchowni argentyńscy okazali się bardziej taktowni od meksykańskich: arcybiskup Jorge Bergoglio ograniczył się do stwierdzenia, że małżeństwa jedнопłciowe to „plan demona celem zniszczenia kraju” i wezwał do świętej wojny. Ale Kościołowi nie udało się zatrzymać nawet polityków prawicy. Jeden z nich tłumaczył, że poparł zmiany, gdyż „Argentyna jest państwem świeckim”, a „w Biblii nie ma nic o tym, aby Jezus potępiał homoseksualistów”.

Na propozycję Kościoła, by przeprowadzić referendum, promotorzy zmian odpowiedzili, że „prawa człowieka nie podlegają plebiscytom”. Zniesienie niewolnictwa nie było przecież głosowane. Cristina Fernández de Kirchner mówiła: „Jeszcze parę dekad temu kobiety nie miały praw wyborczych, a w USA zakazane były małżeństwa pomiędzy osobami o różnym kolorze skóry. Dziś to przeszłość. Wprowadzenie małżeństw jednej płci jest pozytywnym krokiem w stronę obrony praw mniejszości w ogóle”.

Realpolitik

Zdecydowana postawa polityków pokazała, jak bardzo nieuzasadniony jest lęk przed reakcją kato-

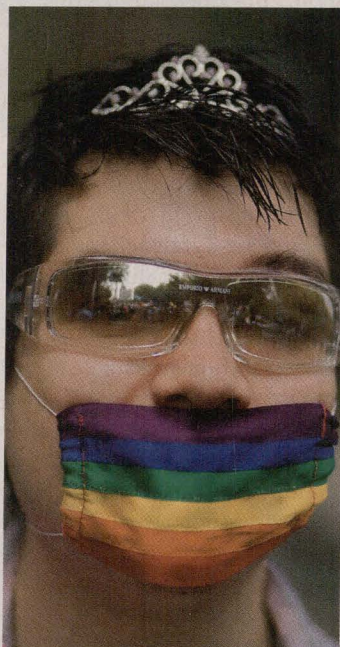
lickiego społeczeństwa i Kościoła. „Do dziś zawarto prawie trzy tysiące małżeństw. I kraj się nie zawalił, tradycyjny model rodziny nie uległ zniszczeniu, nie zanegowano praw żadnej innej grupy. Włączono tylko w obieg prawny obywateli, którzy byli na jego marginesie” – dodaje Paulón.

Region znajduje się w niezwykle sprzyjającym momencie, jeśli chodzi o prawa mniejszości seksualnych. W Argentynie i w mieście Meksyk obowiązują małżeństwa osób jednej płci. W Kolumbii i Brazylii sądy najwyższe zrównały pary homoseksualne z tradycyjnymi małżeństwami pod względem przywilejów zdrowotnych i emerytalnych, praw podatkowych i dziedziczenia, a także adopcji oraz zapłodnienia in vitro. W Ekwadorze funkcjonują związki partnerskie, w Urugwaju także z możliwością adopcji dzieci. Kostaryka była niedawno bliska przyjęcia małżeństw jedнопłciowych. Dyskusja na te tematy zaczęła się w Peru, a nawet w Chile – w kraju, w którym rozwody są dozwolone dopiero od 2004 r., jest to sporym sukcesem.

W walce o swoje prawa wspólnota LGBT szuka sojusznika w rządach lewicowych. Ale sama lewicowość nie gwarantuje zrozumienia jej problemów. W rządzonej przez Hugo Cháveza Wenezueli kwestia związków partnerskich nie może ruszyć z miejsca; podobnie w Boliwii, gdzie Evo Moralesowi zdarzają się homofobiczne wypowiedzi.

„Możliwości wprowadzenia określonych regulacji zależą od kontekstu społeczno-politycznego i nie ma tu gotowego modelu. Środowiska LGBT w poszczególnych krajach muszą iść na kompromisy zgodnie z układem sił, szukać różnych sojuszy i promować realistyczne rozwiązania” – dodaje Paulón. Pamiętać należy, że same prawa nie gwarantują równości. Mimo zaawansowanego ustawodawstwa Brazylii i Meksyk są na pierwszym i drugim miejscu w regionie pod względem ataków

homofobicznych. „Debata towarzysząca reformom, a nawet samo wprowadzenie tematu wspólnoty LGBT do publicznego obiegu, odgrywają ważną rolę informacyjną, ale do walki z homofobią potrzeba woli, długotrwałej polityki pu-



David de la Paz/ZUMA PRESS/FORUM

Kwestia gejowska to także walka o prawa socjalne dla osób nieheteronormatywnych, o ich otwartą obecność w przestrzeni publicznej, miejscu pracy, we władzach

blicznej i edukacyjnej oraz ustawodawstwa antidyskryminacyjnego” – podkreśla Paulón.

Wolności i prawa

Problematyka LGBT nie powinna być sprowadzana do tolerancji. Kwestia gejowska to także walka o prawa socjalne dla osób niehe-

teronormatywnych, o ich otwartą obecność w przestrzeni publicznej, miejscu pracy, we władzach. Komisja Praw Człowieka ONZ 17 czerwca 2011 r. włączyła dyskryminację z powodu orientacji seksualnej i tożsamości płciowej do domeny obrony praw człowieka. Kirchneryzm w Argentynie jest przykładem tego, że prawa mniejszości to częściej szerszej polityki: to nie populizm, który kooptuje kolejne sektory, ale – jak podkreślają argentyńscy socjologowie – „moment polityczny” pozwalający na szereg transformacji, w których centrum znajdują się „nowe równości” i „nowe wolności”.

Andrés Oppenheimer, konserwatywny komentator spraw latynoamerykańskich, zauważył, że małżeństwa jedнопłciowe są częścią tendencji „nie-możliwej do zatrzymania”. Za główny motor tej zmiany uznał gospodarkę i „chęć przyciągnięcia turystyki gejowskiej w regionie”. Małżeństwo jako takie wprzęgnięte jest w dynamikę interesów gospodarczych, a jego sednem jest kwestia własności i jej przekazywania. Ten filar społecznego porządku się sypie, dlatego więc nie szukać sposobów na jego zastąpienie?

Także sami członkowie mniejszości podchodzą sceptycznie do instytucji małżeństwa. Dla jednych to istotne, innym wystarczą związki cywilne. Gdy spytałem znajomego geja, chilijskiego antropologa, czy chciałby wprowadzenia u siebie małżeństw jednej płci, wycedził żargonem zawodowym, że to tylko „redystrybucja nierówności”. Moja meksykańska przyjaciółka, lesbijka i feministka, zapytana, czy chciałaby wziąć ślub ze swoją partnerką, spytała: „Skoro małżeństwo jest takie świetne, to dlaczego sam jeszcze nie zaproponowałem tego swojej dziewczynie?”. No właśnie...

Wolna rączka, ale w trybach



ANNA GRODZKA

Autorka felietonu jest posłanką Ruchu Palikota

Jestem w radiu. Pani redaktorka prowadząca program informuje nas – zaproszonych gości – jakie tematy zamierza poruszyć w rozmowie.

– A więc tak – mówi – porozmawiamy dziś o nominacji Muchy, no wiecie „fryzjera”, na dyrektora COS... – Pani redaktor – przezywam. – Niech pani da spokój – proponuję. – Nie mogę – odpowiada z determinacją w głosie. – Muszę o to spytać, muszę!

– A też teraz już nie mam ochoty oglądać telewizji, ale przyznam się: ostatnio włączam telewizor. Śledzę codziennie „njusy”, komentarze. No tak! Już nie mogę być szczęśliwa.

Kiedy mam dość telewizji, włączam radio. Hm! Ale czemu nie słucham, tak jak kiedyś, muzyki? Mimo wszystko nastawiam uparcie jedną z kilku polskich stacji informacyjnych. A oni powtarzają, powtarzają, powtarzają – to samo co w każdej stacji – i piorą mi mózg, do czysta. To nie może chyba tak zwyczajnie przeciekać mi przez głowę? Musi wybielać miszmare komórki. Zenujące konsekwencje dla głowy.

Codziennie ktoś dzwoni, zaprasza do radia, telewizji. Wywiady i pytania o to samo. Co pani sądzi o detektywie Rutkowskim? Czy Arłukowicz powinien być zdymisjonowany? Co pani myśli o „żarcie” posła Suskiego, o „Murzynku Bambo”?

W każdej stacji, w każdym programie różnymi głosami różne bzdury na ten sam temat. Czy ja też tak głupio gadam? Mam dość! Spo-

kojnie – myślę. – Za dwa dni będzie inny temat. Inny – ale przecież niestety również cienko przewalkowany, jak ciasto na makaron do rosołu.

Kto do diabła to ogląda?! Nooo.... cholera: ja. Ja oglądam. W setkach tysięcy domów odbiorniki grają cały czas – żeby zabijać! Zabijać ciszę, pustkę w głowie, brak miłości, prawdę, lęk. Oni – znaczy ci w mediach – to wiedzą. Dają nam to, na co czekamy, to, czego potrzebujemy. Tak jak każą im ich bogowie – oglądalność, słuchalność, mamona.

Przez wszystkie media informacyjne codziennie przepływa serial. Jak po powierzchni wody. W każdym programie z innymi aktorami i na innym tle, te same tematy i ci sami od lat aktorzy. Aż boli!

W redakcjach telewizyjnych stacji siedzą świstaki i przewracają strony z wynikami badań. Przełączając pilotem między informacyjnymi programami, dość łatwo rozpoznać polityczne poglądy i sympatie jej zarządów. A tam informacje od samego Boga: kiepsko, siedem procent w dół w stosunku do konkurencji. Potrzebna wam gwiazda. Badania oglądalności zachwycają lub przerażają.

Wyobrażam sobie telewizję informacyjną, telewizję społecznej i politycznej debaty. Telewizję, w której goście dobierani są według kompetencji i umiejętności argumentacji, a nie jedynie na zasadzie kontrastu poglądów. Telewizję, w której ważniejsze i bardziej wiarygodne są poglądy zaproszonych do rozmowy gości niż postać prowadzącego rozmowę redaktora. Telewizję, w której informacja nie jest filtrowana przez „polityczną sympatię” szefa redakcji, a w dyskusji powstaje konkluzja. A dziś tylko „lans” i wątpliwa rozrywka wzajemnego przekrzykiwania się i obrażania. Niechby była chociaż jedna taka wymarzona telewizja informacyjna!

Pomarzyć można. Obywatelska telewizja. Ech!

No a kultura? Może też taka telewizja kulturalna, która nie odwołuje się jedynie do najpowszechniejszych oczekiwań, ale próbuje te oczekiwania „ciągnąć w górę”. Ustanawiać

standardy. Kreować pozytywny snobizm. Przywołać i budzić zainteresowanie masowego widza, ale potem treścią i formą poruszać serca i umysły. Poruszać czymś, co zaskakuje kreacją, budzi podziw perfekcją czy wyobraźnią, prowokuje do myślenia. Telewizja, która nie tylko sięga w przeszłość, ale także tworzy dla przyszłości.

Obywatelska telewizja kulturalna! Ech!

Telewizji obywatelskiej nie ma, bo nad telewizjami informacyjnymi panują bogowie oglądalności, mamony i oczekiwań politycznych. A obywatelska telewizja kulturalna może być i była – mam na myśli TVP Kultura – gdyby nie to, że brakuje jej mamony.

Dlaczego brakuje? Ktoś by powiedział: „Bo ma mało reklam”. Ale gdyby reklam było więcej, nie byłaby taka, o jakiej marzę – obywatelska. Więc może jednak warto utrzymać jakąś formę abonamentu? Ale czy warto płacić powszechny abonament na taką telewizję, jaką dziś muszę oglądać? Mamy prawo wyboru. Wolna rączka... ale w trybach – jak śpiewał kiedyś Jan Kaczmarek.

A może warto zapłacić za (tu skompromitowane obłudną polityką słowo!) misję? Ale za misję naprawdę, bez tej obłudy. Misję, która jest wartością dodaną do naszych mainstreamowych, leniwych intelektualnie, powszechnych oczekiwań.

Niebawem Internet i telewizja spotkają się i zespółą. Strony WWW i programy telewizyjne będzie można przerzucać tym samym pilotem. Może warto płacić za misję w Internecie, radiu i telewizji. Może państwo w naszym imieniu powinno kupować – uwalniać z oków praw autorskich do wolnej przestrzeni prezentacji – wartościowe dzieła. Płacić za sztukę i pokazywać ją. Finansować i udostępniać, a także promować kulturę i wiedzę. Podtrzymywać wolną, merytoryczną debatę.

Może warto się na to złożyć w abonamencie, podatku, z rachunkiem za prąd – ale płacić. Wszak nie robi się to samo. Czyż nie płacimy wszyscy więcej za jałowość debaty, informacje bez informacji, politykę bez kultury i kulturę bez wartości?



Raz, dwa, trzy... pracodawca patrzy!

BARBARA GUBERNAT

Coraz więcej pracodawców wykorzystuje portale społecznościowe podczas rekrutacji. Odbywa się to głównie drogą nieoficjalną i takie lustrowanie przez pracodawców facebookowych profili kandydatów wciąż jest tajemnicą poliszynela. Niektórzy idą jednak o krok dalej.

Kilka tygodni temu wydawca serwisów internetowych, Grupa G7 Media, ogłosił, że poszukuje redaktorki do powstającego portalu Boska.pl. Osoba starająca się o pracę na tym stanowisku musiała być młodą kobietą, przesłać swoje zdjęcie, a także... link do profilu na Facebooku. Nie dość, że pracodawca nawet nie ukrył zamiaru „prześwietlenia” kandydatek, to jeszcze „prosił o stosowną zmianę ustawień prywatności na czas rekrutacji”.

Trudno racjonalnie wytłumaczyć tego rodzaju wymóg. Potraktowanie jako kryterium rekrutacyjnego danych i treści zamieszczonych na portalu społecznościowym stanowi naruszenie nie tylko prywatności, ale przede wszystkim prawa (podobnie jak prośba o zdjęcie i wymóg dotyczący wieku oraz płci kandydatki).

Jak cię widzą, tak cię zatrudniają

Korzystając z Facebooka, to my sami określamy, dla kogo będą widoczne nasze wpisy, kto będzie mógł oglądać nasze zdjęcia czy poznać nasze zainteresowania. Świadomy użytkownik najczęściej w jakiś sposób ogranicza krąg odbiorców tych informacji, np. tylko do zaakceptowanych znajomych. Pytanie, jakie znaczenie w procesie rekrutacji mogą mieć nasze prywatne zdjęcia czy słuchana przez nas muzyka.

Z pomocą przychodzą badania amerykańskich naukowców, których wyniki opublikował niedawno „Journal of Applied Social Psychology”. Według nich profil na Facebooku jest lepszym wskaźnikiem potencjału przyszłego pracownika niż jego iloraz inteligencji. Zamieszczane przez niego zdjęcia i wpisy świadczą o umiejętności interakcji w grupie i ogólnej przydatności na danym stanowisku.

Na potrzeby badania przeanalizowano facebookowe profile studentów. Przygotowano

questionariusz uwzględniający styl wpisów, liczbę znajomych, galerię zdjęć oraz gust książkowo-muzyczny. „To bardzo bogate źródło informacji” – przekonywał Don Kluemper, autor badania i profesor zarządzania na North Illinois University.

Pół roku później okazało się, że uczestnicy eksperymentu na podstawie danych z FB lepiej przewidzieli wyniki ocen pracowniczych niż prognozy oparte na ilorazie inteligencji. W rankingu korzystniej wypadli studenci, którzy mieli więcej znajomych, podróżowali oraz realizowali swoje hobby poza uczelnią. Wbrew powszechnej opinii zamieszczanie zdjęć z imprez nie wpłynęło na ich ocenę w sposób negatywny.

Do tego typu metod sceptycznie odniosła się na łamach „Guardiana” Catherine Noonan, przestrzegając przed możliwością zbytniego uproszczenia oceny pracownika i podkreślając społeczny charakter Facebooka. „Dlaczego nie trzymać się od niego z daleka i nie oceniać kandydatów według wypróbowanego sposobu, czyli tego, jak odnajdują się w środowisku zawodowym?” – pytała.

Nie sposób zabronić pracodawcom wyszukiwania informacji na temat kandydatów na serwisach społecznościowych, choć nad takim prawem zastanawiał się już półtora roku temu niemiecki parlament. Przygotowywana ustawa miała zapewnić osobom poszukującym pracy ochronę prywatności, tak aby do celów rekrutacyjnych używane były jedynie portale biznesowe, jak LinkedIn. Rozważano zakaz wykorzystywania przez pracodawców informacji pochodzących z kont na portalach społecznościowych nawet wtedy, gdy kandydaci dobrowolnie je upublicznili. „Serwisy te mają służyć tylko do celów komunikacyjnych” – podkreślał Phillip Spauschus, rzecznik niemieckiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Idea tyleż słuszna, ileż trudna do wyegzekwowania. Nie sposób bowiem sprawdzić, czy pracodawca korzystał podczas rekrutacji z danych zamieszczonych na portalach społecznościowych, a jeżeli nawet, to czy znalezione

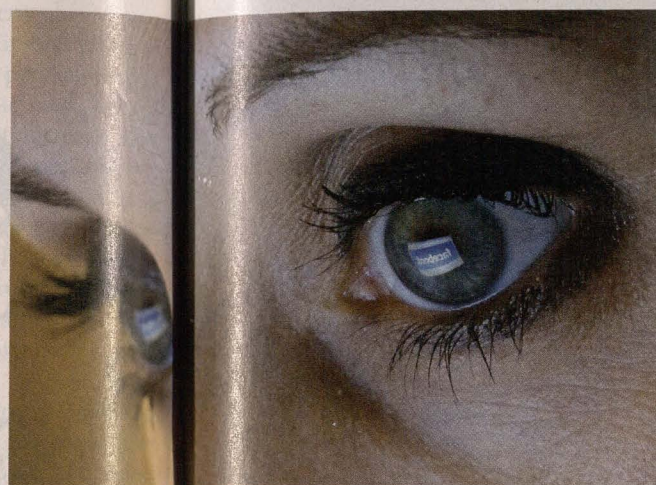
Nie trzeba już instalować kamer czy podsłuchów. Co jest najskuteczniejszym i najtańszym narzędziem inwigilacji pracowników? Facebook

informacje miały rzeczywisty wpływ na przyjęcie lub odrzucenie kandydata.

Rekrutacja przez lustrację

Z raportu portalu Pracuj.pl „Wyzwania HR w 2012 r.” wynika, że 43 proc. ankietowanych polskich pracodawców nadal nie wie, czy rekrutacja z wykorzystaniem Facebooka ma jakikolwiek sens, ale już 24 proc. pozytywnie ocenia takie rozwiązania. W ubiegłym roku 22 proc. respondentów pozyskało nowych pracowników dzięki aktywności w serwisach społecznościowych, a już blisko co trzeci pracodawca uważa bieżący kontakt z potencjalnymi kandydatami na tego typu portalach za trend, który ma największe szanse na upowszechnienie się w ciągu najbliższych dwóch lat.

Niepokojące są dane Repplera – agencji monitorującej media społecznościowe. Z jej badań wynika, że aż 91 proc. pracodawców lustruje internetowe profile kandydatów podczas procesu rekrutacji. „W procesie inwigilacji kandydatów liczy się przede wszystkim Facebook – 76 proc. pracodawców sprawdza ich na portalu Marka Zuckerberga, pomocny jest także Twitter – 53 proc. sprawdzeń i LinkedIn – 48 proc.” – donosi portal Fejsik.pl. Aplikacje potencjalnych pracowników były odrzucane m.in. ze względu na niewłaściwe zdjęcia i komentarze, negatywne wypowiedzi na temat byłych pracodawców, wzmianki o tym, że kandydaci piją alkohol/używają narkotyków, oraz „słabe umiejętności komunikacyjne”.



Michael Daldier/REUTERS/FORUM

Facebookowa inwigilacja pracowników nie kończy się na etapie rekrutacji. W wielu przypadkach dopiero wtedy się zaczyna... Na portalu istnieje nawet specjalna grupa zrzeszająca użytkowników wyrzuconych z pracy z powodu treści, które opublikowali na Facebooku. Zwolnienia powodowane są zarówno krytyką pracodawców, jak i osobistymi poglądami pracowników czy wręcz samą ich obecnością na Facebooku.

W grudniu 2009 r. pracownik francuskiej firmy projektowej napisał na swoim profilu, że jest członkiem Klubu Nieszczęśników, na co dwaj koledzy z biura odpowiedzieli mu: „Witamy w klubie”. Wypowiedzi nie były wprawdzie ogólnie dostępne, jednak wśród znajomych użytkownika znajdowały się też inne osoby zatrudnione w tej firmie, nie potrzebując zatem dużo czasu, by informacja dotarła do szefostwa. Pracownicy zostali zwolnieni z powodu „zniewagi i podżegania do buntu”. Potwierdził to francuski sąd pracy, uznając rozwiązanie umów za uzasadnione i zgodne z prawem.

Zwolnione przez wpisy

W Polsce głośna była sprawa prezesa stołecznego Miejskiego Przedsiębiorstwa Takśmówkowego, zwolnionej ze względu na wpisy, które zamieściła na swoim prywatnym profilu na Facebooku. W listopadzie 2010 r. kobieta tak skomentowała spotkanie rodzin ofiar katastrofy smoleńskiej z premierem Donaldem Tuskiem: „Nie wybierali się do premiera

w sprawie wyjaśnienia przyczyn katastrofy, bo to sprawa prokuratury, nie wybierali się towarzysko, bo premier w pracy nie prowadzi życia towarzyskiego. Po co więc chcieli przyjść, jak nie po kasiorę?”. Odnosiła się do informacji prasowej, która dotyczyła reakcji polityków Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej na wypowiedź premiera, że część rodzin ofiar katastrofy chce się z nim spotkać, aby przedstawić roszczenia finansowe.

Mimo iż zarówno ten wpis, jak i inne uznane za kontrowersyjne przeznaczone były dla ograniczonego grona odbiorców, ich treść szybko przedostała się do mediów. Już kilka dni później prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz w wywiadzie dla portalu Onet.pl tak komentowała sprawę: „Absolutnie nic nie tłumaczy jej nagannych wypowiedzi. Gdy tylko dowiedziałam się o nich, wszczęłam procedurę zwolnienia rady nadzorczej, która może ją odwołać”. I choć wpisy z Facebooka nie zostały podane jako oficjalna przyczyna zwolnienia, trudno oprzeć się wrażeniu, iż to właśnie one kosztowały kobietę utratę zarówno stanowiska prezesa, jak i zatrudnienia. „To były prywatne wypowiedzi i nie miały żadnego związku z moją pracą na stanowisku prezesa spółki. Tylko za to powinien być rozliczana” – tłumaczyła zainteresowana.

Równie kontrowersyjna była sprawa zatrudnionej w firmie ubezpieczeniowej Szwajcarce, która w 2008 r. straciła pracę z powodu samego korzystania z Facebooka. Cierpiąca na silną migrenę kobieta pozostała w domu z uwagi na konieczność przebywania w ciemnym pomieszczeniu i zakaz pracy przy monitorze. Tydzień po powrocie do pracy rozwiązano z nią umowę. Jak się okazało, bezpośrednią przyczyną zwolnienia był fakt, iż podczas choroby kobieta logowała się na portalu Facebook. Szef firmy stwierdził, że skoro mogła to zrobić, mogła również pracować. Nie przyjmował do wiadomości wyjaśnień, że chorzyła z serwisu przez telefon komórkowy, leżąc w łóżku.

FB prawdę ci powie?

Facebookowa machina dopiero się rozkręca. Świadczy o tym powstawanie aplikacji przeznaczonych wyłącznie do celów

rekrutacyjnych. Należy do nich np. aplikacja „Work for us”, przy pomocy której pracodawca może publikować ogłoszenia na swoim fanpage’u. Dzięki temu kandydaci mogą bez opuszczania Facebooka aplikować na dane stanowisko.

To nic nadzwyczajnego w porównaniu z aplikacją stworzoną dla agencji R/GA, mającą ułatwić rekrutację stażystów. Tak zwany „Social Interview” można określić jako nietypową rozmowę kwalifikacyjną – nie dość, że odbywa się ona za pośrednictwem Facebooka, to na pytania nie odpowiada sam kandydat, lecz jego znajomi. Firma prosi kandydatów o możliwość umieszczenia na ich prywatnych profilach pytań na ich temat, na które inni użytkownicy będą mogli odpowiadać w sekcji komentarzy.

Niewątpliwie informacje niewygodne mają większą szansę wypłynąć przy okazji facebookowej inwigilacji niż podczas bezpośredniej rozmowy. Z drugiej strony profile można w jakimś stopniu wykreować na potrzeby rekrutacji. Nietrudno jest przecież usunąć nieodpowiednie zdjęcia czy też dopisać sobie pożądane z punktu widzenia pracodawcy zainteresowania. Jak zatem ocenić ich wiarygodność? I co z prywatnością oraz wolnością w mediach społecznościowych?

– Internet, a szczególnie portale społecznościowe, całkowicie zmieniają znaczenie takich terminów jak „sfera publiczna i prywatna” – wyjaśnia Piotr Cichocki, antropolog Internetu z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. – Wszelkie informacje, wpisy, zdjęcia, „lajki”, które umieszczamy w swoich profilach, mogą trafić gdziekolwiek i do każdego. Co więcej, każdy może z nich skorzystać i na przykład wyrobić sobie na nasz temat dowolną opinię. Nasz świat przypomina coraz bardziej panoptikon – wszyscy patrzą na wszystkich, w ramach tego zapewne zerkają na nas także pracodawcy. „Sprawdzanie” kandydatów to niepokojący proces, trudno jednak wyobrazić sobie rozwiązania prawne, które zdołałyby go powstrzymać – dodaje Cichocki.

Barbara Gubernat jest prawniczką współpracującą z Fundacją Panoptikon.

Jak banki rządzą demokracją

„Obrobić bank – to jeszcze nic. Założyć bank – to dopiero jest interes” – pisał Bertolt Brecht

DARIUSZ ZALEGA

Trzeba podnieść wiek emerytalny, bo tak robi cała Europa – to jeden z argumentów rządu, który chce przepchnąć reformę emerytalną. Już trzy lata temu przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek zapowiadał, że „trzeba dłużej pracować i później przechodzić na emeryturę”. Dlaczego „trzeba”? Bo „musimy wysłać silny sygnał do międzynarodowych rynków finansowych”.

Jerzy Buzek zgodziłby się pewnie z hasłem „Banki sterują demokracją”, które widnieje na okładce najnowszej książki francuskiego ekonomisty Francois Chesnais'a „Bezprawne długi”. Do tego hasła wszystko się bowiem

sprawdza – o polityce państw nie decydują już obywatele ani nawet wybrani przez nich przedstawiciele, tylko owe bezosobowe rynki finansowe, na których ogromną rolę odgrywają banki.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że banki powinny udzielać przedsiębiorstwom kredytów na inwestycje i pomnażać oszczędności obywateli. Zdrowy rozsądek bywa jednak zwodniczy – o czym przekonuje Chesnais: „Operacje inwestycji finansowych dokonywane przez traderów na rynkach giełdowych są teraz ważniejsze niż obsługa klientów w zwykłych oddziałach bankowych”.

Kontrola banków jest praktycznie niemożliwa, bo w gąszczu instrumentów finanso-



Starcia z policją na ulicach Aten, 12 lutego 2012

wych gubią się dziś nawet specjaliści. Umożliwia to realizowanie gigantycznych zysków z operacji finansowych kosztem świata realnego – o czym boleśnie przekonał nas ostatni kryzys. Transakcje przyczyniające się do wytwarzania światowego bogactwa stanowią jedynie 1,6 proc. wszystkich – reszta to sfera operacji finansowych (w 2008 r. transakcje ogółem – 3,7 tys. bln, światowe PKB – 60 bln dol., światowa wymiana towarów i usług – 19 bln dol.).

Chesnais przywołuje jeden z dokumentów Międzynarodowego Funduszu Walutowego z 2010 r.: „Nacisk rynków może wygrać tam, gdzie zawiodły inne sposoby. Gdy władze państwowe znajdują się w ciężkiej sytuacji, jak np. w Grecji bądź w Hiszpanii, wykorzystują ją często jako okazję do trudnych reform”. A trudne reformy są zawsze te same – od Madrytu po Warszawę: cięcia socjalne, zwolnienia w budżetówce, zamrożenie płac, podwyższanie wieku emerytalnego. Wszystko tylko po to, by zaspokoić apetyty rynków.

Za technokratycznym dyskursem kryją się dramaty całych społeczeństw, skazanych na masowe ubożenie i destabilizację. Neoliberalna ortodoksja okazuje się także szkodliwa dla gospodarki. Podobne reformy wprowadzane są w wielu krajach od lat – bez długoterminowego pozytywnego wpływu na wzrost gospodarczy (państwa stawiane za wzór, jak Irlandia, szybko spada- ➔

Georgios Moutafis/FORUM

Kryzys grecki i debata na temat „haniebnego długu”

FRANCOIS CHESNAIS

Obowiązek spłacenia długu opiera się na założeniu, że pożyczone pieniądze są wynikiem oszczędzania w ciągu wypełnionej ciężką pracą życia. Być może jest to prawdą w przypadku funduszy emerytalnych. Na pewno jednak nie jest to przypadek banków czy funduszy hedgingowych. Gdy te „pożyczają państwu”, kupując obligacje skarbowe skierowane do przetargu przez Ministerstwo Finansów, chodzi o fikcyjne kwoty, dokładnie tak samo jak ma to miejsce w przypadku wszystkich operacji segmentu niebankowych instytucji finansowo-inwestycyjnych.

Transfer bogactwa, tego, który wygenerowała praca, odbywa się w przeciwnym kierunku. Dług i odsetki stanowią składową „pompy finansowej”, jak z fantazją okre-

ślił system bankowo-financeowy Frédéric Lordon w hołdzie Alfredo-owi Jarry'emu i jemu Ubu królowi.

Ekonomiczna natura pożyczonych sum stawia pod znakiem zapytania prawomocność długu publicznego. I jest to jeden z powodów kryjących się za żądaniami obywatelskiego audytu długów publicznych w państwach, w których walka przeciwko ich spłacaniu zaczęła się miesiące temu. W Grecji audytu domaga się kilkadziesiąt organizacji politycznych i stowarzyszeń. To w tym właśnie państwie na początku 2010 r. rozpoczął się kryzys długów publicznych, tam też skutki polityki prowadzonej na korzyść wierzycieli są najbardziej widoczne. W kwietniu 2011 r. agencje ratingowe, z agencją Moody's na czele, wzięły sobie to państwo za cel. Zważywszy na pełnioną przez nie funkcję doradców inwestorów, ich zacięcie nie wydaje

się mieć w sobie nic dziwnego. Procykliczny charakter polityki prowadzonej przez państwa Eurogrupy i EBC był w tamtym okresie szczególnie silny. W ciągu roku PKB Grecji spadło o 4,5%. Zgodnie z ostatnimi prognoząmi MFW w ciągu następnych 12 miesięcy obniży się o kolejne 3%. Pod wpływem recesji wywołanej przez środki narzucone Grecji w maju 2010 r. relacja długu publicznego do PKB sięgnęła 154%. Prognozy na 2012 r. mówią o 160–180%. W sposób ewidentny rośnie więc ryzyko niewypłacalności.

Fundusze hedgingowe domagają się coraz to nowych gwarancji ze strony rządu greckiego, UE i EBC. Rząd grecki ogłosił 15 kwietnia 2011 r. plan prywatyzacji opiewający na 50 mld euro. Tymczasem kolejna obniżka oceny wiarygodności kredytowej Grecji przełożyła się na dodatkowy wzrost opro-

centowania obligacji skarbowych, które państwo to będzie chciało w przyszłości wyemitować. Greckie obligacje z 3-letnim okresem zapadalności osiągnęły bezprecedensowy poziom oprocentowania wynoszący 20%. „Tym lepiej” dla funduszy hedgingowych, zarówno tych niezależnych, jak i będących oddziałami banków! (w październiku 2011 r., w obliczu narastających buntów społecznych i pomysłu referendum w sprawie kolejnego programu zaciskania pasa, i w konsekwencji wymuszonej dymisji premiera Papandreu w Grecji, KE, EBC, MFW i duet Merkel – Sarkozy zdecydowali się na restrukturyzację greckiego długu: zagrożone utratą całości spodziewanych zysków banki mają odpisać połowę z nich – ok. 100 mld. euro – przyp. red.).

W 2007 r., gdy rozpoczął się kryzys światowy, dług grecki był już i tak wysoki – pa-

trząc na relację do PKB (107,4%). A zatem kryzys długów publicznych zaczął się pod koniec 2009 r. od jednego z najmniejszych państw – tak jakby inwestorzy finansowi chcieli przetestować zdolność UE i EBC do stawienia im oporu, atakując najsłabsze ogniwo strefy euro.

W latach 2008–2009, podobnie jak wszędzie indziej, światowa recesja spowodowała spadek wpływów budżetowych w Grecji. Uniemożliwiła ona dalsze ukrywanie stanu finansów publicznych, które rząd Costasa Karamanlisa tał z pomocą Goldmana Sachs (2001). Mechanizmy, które doprowadziły do powstania greckiego długu publicznego, są takie same jak w innych państwach.

Decyzje o obniżeniu podatków (dochodowego, majątkowego i dla przedsiębiorstw) ograniczyły wpływy budżetowe i doprowadziły do powstania deficytu budżetowego, który był finansowany poprzez zaciąganie długów. Swoją niebagatelny udział, być może większy

niż w innych państwach, miały w tym wszelkiego typu decyzje noszące znamiona prezentów dla bogatych elit. I tak w tekście konstytucji z 1975 r. znalazł się zapis o zwolnieniu od podatków greckich armatorów, ich rodzin i wspólników. Przywilej ten można uznać za jeden z typowych elementów charakteryzujących grecki „haniebnny dług”, by posłużyć się określeniem stosowanym w kontekście państw, które kiedyś nazwano Trzecim Światem.

Doktryna „haniebnego długu” sięga 20-lecia międzywojennego, a dokładnie 1927 r., kiedy to sformułował ją Alexander Sack, rosyjski prawnik, profesor prawa międzynarodowego w Paryżu. Odnosi się ona do długu zaciągniętego przez reżim despotyczny (my powiedzielibyśmy dziś przez „dyktaturę” lub „ustrój autorytarny”) wbrew interesom państwa i obywateli.

Podobną definicję, bardziej bezpośrednio odnoszącą się do współczesnej finansjeryzacji, podaje Centre for International Su-

stainable Development działające przy Uniwersytecie McGill w Montrealu. Długi haniebne to „takie, które zostały zaciągnięte wbrew interesom społeczności danego państwa, bez jej zgody i przy pełnej świadomości tego faktu ze strony wierzycieli”. Początki problemów Grecji z zadłużeniem sięgają okresu dyktatury wojskowej zwanej juntą „czarnych pułkowników” – dość powiedzieć, że między 1967 r. a 1974 r. dług publiczny kraju powiększył się 4-krotnie. Rósł następnie pod rządami demokratycznymi, które przyszedł później. Pożyczkami żywiła się wówczas zakrojona na wielką skalę korupcja. Jesienią 2009 r. wyszło na jaw, że rząd partii Nowa Demokracja i były premier Konstandinos Karamanlis sfalszowali dane, tyleż by ukryć rozmiary korupcji, co by ocalić gospodarczą wizerunek Grecji w UE, EBC i u inwestorów. Dodajmy, że rząd Jeoriosa A. Papandreu nie wszczął żadnego postępowania wobec Karamanlisa. Wydatki, które ostatecznie

pogryzły publiczne finanse Grecji – do dziś nie znamy zresztą wysokości towarzyszących im pokątnych zamówień – związane są w jakiejś mierze z organizacją Igrzysk Olimpijskich w 2004 r., przede wszystkim zaś z zakupami broni.

Informacje opublikowane w raporcie za 2010 r. przez Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem, będący najważniejszym źródłem danych w tej dziedzinie, pokazują, że w latach 2005–2009 Grecja była jednym z pięciu największych importerów broni w Europie. Sam zakup samolotów bojowych stanowił 38% wolumenu importu, z zakupem 26 F-16 (Stany Zjednoczone) i 25 Mirage 2000 (Francja) – ten ostatni kontrakt opiewał na 1,6 mld euro. A przecież lista francuskiego wojskowego sprzętu sprzedanego Grecji jest dużo dłuższa, obejmuje również pojazdy opancerzone (70 wsi), helikoptery NH90, pociski rakietowe MICA, Exocet, Scalp i drony Sperwer. Zakupy te uczyniły z Grecji trzeciego najważniejszego ➔

→ ją z piedestału), za to z poważnymi konsekwencjami dla poziomu życia społeczeństw.

Dominacja świata finansów nad realną gospodarką nie byłaby możliwa bez poparcia rządów wielkich państw (STany Zjednoczone Reagana, Wielka Brytania Thatcher). W latach 80. przy spadku stopy zysków koncerny coraz mocniej zaczęły „inwestować” na rynkach finansowych, zasilały od połowy lat 70. masowym dopływem petrodolarów oraz środków ze spłacanego długu krajów Trzeciego Świata i bloku wschodniego. Sprzyjała temu deregulacja systemów bankowych i pojawienie się nowych operatorów na rynkach – funduszy powierniczych, hedgingowych, emerytalnych.

Gwałtowny rozrost tej sfery wspierała prowadzona we wszystkich krajach polityka obniżania podatków od dochodów najbogatszych i firm oraz blokada wzrostu płac. Obniżki podatków przyczyniły się do powstania lub zwiększenia dziur w budżecie – by je zapełnić, państwa zaczęły pożyczać od tych samych banków, które wcześniej zwolniły z „jarzma podatków”.

Blokadę płac – a więc popytu – zrekompenso-
sowano otwarciem kurka kredytowego dla

gospodarstw domowych. Późniejszy wzrost oparł się nie tyle na innowacjach, ile na spirali zadłużenia, a właściwie na – co podkreśla Chesnais – „akumulacji długów w łonie samego systemu finansowego”. W latach 1980–2008 w Stanach Zjednoczonych zadłu-

” Koszty obsługi długu publicznego blokują możliwość innej polityki – nastawionej na postęp społeczny czy zrównoważony rozwój gospodarczy

żenie przedsiębiorstw finansowych wzrosło z 18 proc. w stosunku do PKB do 119 proc. (gospodarstw domowych – z 49 do 100 proc.). Podobnie było w Europie.

Aby ratować zadłużone państwa, Europejski Bank Centralny udziela pożyczek na 1 proc. bankom prywatnym, które następnie pożyczają pieniądze państwom na procent o wiele wyższy. W ten sposób podstawą zysków bankowych w Europie stało się finansowanie de-

ficytów budżetowych oraz kredytu hipotecznego, zwłaszcza w państwach, w których obrót nieruchomościami przybrał formę banków spekulacyjnych (Irlandia, Hiszpania).

Chesnais pokazuje, jak do wzrostu długu Grecji przyczyniła się... pomoc rządów ratujących banki przed upadkiem. W latach 2008–2009 wpompowano w nie miliardy dolarów, a te poszły na spekulacje na długu greckim – kosztem greckiego społeczeństwa. Stąd Chesnais wysuwa wniosek: te długi są bezprawne i Grecja może uzasadnić odmowę ich spłaty.

Koszty obsługi długu blokują możliwość innej polityki – nastawionej na postęp społeczny czy zrównoważony rozwój gospodarczy. Francois Chesnais wzywa w związku z tym do audytu długu, anulowania jego części, a nawet do nacjonalizacji banków. Brrr, radykał – może się ktoś obruszyć. Tyle że kontynuowanie samobójczej polityki Unii Europejskiej – prowadzonej pod dyktando radykałów z rynków finansowych – zagraża samej idei wspólnej Europy, bo prowadzi do wzrostu nastrojów nacjonalistycznych.

Jeżeli ta wspólna Europa ma przetrwać, potrzebuje radykalnej zmiany. Jak pisze francuski ekonomista: „Przyszłość tych, którzy nie korzystają z zysków finansjery, będzie zależeć od ich zdolności do wspólnego stworzenia tego, co dziś nie istnieje: prawdziwej unii”.

→ szego klienta francuskiego przemysłu obronnego w minionej dekadzie. W 2008 r. dostawy osiągnęły wartość 261 mln euro. Na swoim blogu Libération, Jean-Dominique Merchet, również ekspert ds. sprzedaży broni, wyjaśnia, że „Grecja prowadziła zaawansowane negocjacje z Francją i Dassault w sprawie zakupu samolotów myśliwskich Rafale za 50 mln euro sztuka. W obecnej sytuacji wszystko to przepadło”.

Francja nie jest jedynym dużym producentem broni, który prowadził interesy z Grecją i przyczynił się do pogłębienia jej zadłużenia. Obok niej należałoby wymienić Stany Zjednoczone, Rosję, Wielką Brytanię i Niemcy. Te ostatnie w latach 2005–2009 sprzedawały Grecji sprzęt wojskowy (czołgi Leopard, okręty podwodne typu 214, amunicję) za kilka miliardów euro.

Zakupy te wpisują się doskonale w problematykę haniebnego długu. Nawet jeżeli wież tworzy się w ramach samej Europy i nie dotyczy państw Afryki czy Ameryki

łacińskiej, fakt, iż banki i fundusze inwestycyjne, wobec których Grecja zaciągnęła zobowiązania, oraz przedsiębiorstwa sprzedające broń, na kupno której poszły uzyskane w ten sposób pieniądze, pochodzą z tych samych państw, zakrawa na formę zależności gospodarczej i politycznej charakterystycznej dla imperializmu.

Dług sektora prywatnego w sprzyjających warunkach stworzonych przez bankową akcję kredytową również wzrósł ogromnie w pierwszej dekadzie XXI w. Gospodarstwa domowe, którym banki i rozwinięty prywatny sektor handlowy proponowały korzystne kredyty, zadłużyły się, podobnie zresztą jak przedsiębiorstwa i deweloperzy. Z kolei banki refinansowały się, pożyczając w innych bankach europejskich. Przepływ środków w ramach inwestycji finansowych przekroczył znacznie wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych. Na takim właśnie mechanizmie oparł się grecki „wzrost gospodarczy”.

Do jego powstania przyczyniły się nie tylko oddziały zagranicznych banków. Dzięki silnemu euro i refinansowaniu na rynkach dłużnych papierów wartościowych strefy euro greckie banki mogły poszerzyć swoją międzynarodową działalność i tanio finansować swą działalność krajową. Pożyczka bez ograniczeń. Wzrost wolumenu pożyczek dokonał się w dwóch etapach. Po raz pierwszy między grudniem 2005 r. a marcem 2007 r. – o 50%, kiedy to wartość udzielanych pożyczek przeszła z nieco mniej niż 80 mld do 120 mld dol., później drugi raz w okresie 2007–2008.

Dzięki akcjom ratunkowym i środkom udostępnionym przez banki centralne – Fed, EBC, Bank of England – banki europejskie: niemieckie i francuskie, ale także banki belgijskie, holenderskie, brytyjskie i luksemburskie, a nawet irlandzkie... mogły dalej pożyczać sektorowi prywatnemu i rządowi. Dość wspomnieć, że gdy kryzys kredytów subprime zbierał już swe żniwo na świecie, między

czerwcem 2007 r. a latem 2008 r., w Grecji wolumen pożyczek mocno wzrósł (o 33%), przechodząc z 120 do 160 mld dol. i utrzymując się na bardzo wysokim poziomie (ok. 120 mld dol.) aż do wybuchu kryzysu długu publicznego.

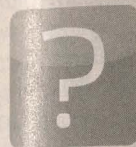
Duże banki europejskie wykorzystały środki pochodzące z banków centralnych do zwiększenia wolumenów kredytowych. „Obciążały łódź” aż do momentu, gdy rozmiar deficytu przestał być tajemnicą i zaczęła się faza otwartego kryzysu i ataków spekulacyjnych na stopy procentowe wymagane od Grecji.

TLUM. LUCYNA MAZUR



Fragment książki Francois Chesnais „Bezprawne długi. Jak banki sterują demokracją”, przeł. Lucyna Mazur, Jerzy Szygiel, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012

TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

JOANNA OMORSKA

1. Skąd właściwie się bierze i jak powstaje ropa naftowa?

6 ile łatwo wyobrazić nam sobie narodziny węgla, czyli powstanie skamieniałości ze szczątków organicznych (głównie roślinnych) w efekcie odcięcia tlenu i procesów chemicznych, o tyle początków płynnej ropy naftowej już nie. Tymczasem ropa, nazywana też olejem skalnym, to przeobrażenie bardzo podobne – również powstała ze szczątków roślinnych (i zwierzęcych) w wyniku ich rozkładu pod zwiększonym ciśnieniem. Jednak w odróżnieniu od węgla jej głównym „paliwem” była biomasa glonów i niższe gatunki istot wodnych (np. planktonu). Stąd też największe złoża często znajdują się na znacznej głębokości pod morza-

mi i oceanami. Przy okazji warto wspomnieć, że początkowo poszukiwano ropy wyłącznie na lądzie. W powstawaniu ropy naftowej najważniejsze były tłuszcze i białko, pozostałości bakterii gnilnych oraz okrucy skalne.

Teoria organiczna powstawania ropy naftowej mówi, że czynnikami powodującymi przejście materiału organicznego w bituminy (substancje organiczne o dużej lepkości) były przede wszystkim ciśnienie, temperatura, oddziaływanie bakterii czy pierwiastków promieniotwórczych. Chociaż istnieje także teoria nieorganiczna (niepotwierdzona w badaniach!) zwracająca uwagę na dziwny



Layne Kennedy/CORBIS

fakt, iż morska biomasa zawiera maksymalnie 10 proc. wodoru, tymczasem ropa naftowa potrafi mieć w sobie aż 15 proc. tego pierwiast-

ka, a wolnego wodoru nie spotyka się w skałach osadowych. Jednak, na razie, obowiązkowo należy się trzymać teorii organicznej.

Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



MAREK RACZKOWSKI



2. Dlaczego zaklejenie pępka plasterkiem przeciwdziała chorobie lokomocyjnej (kinetozie)?

10, co uznawane jest za kontrowersyjną metodę zapobiegania chorobie lokomocyjnej, w rzeczywistości jest działaniem wspomagającym. Kinetozą jest efektem nieprawidłowego działania błędnika (bodźce odbierane przez nasze oczy i te odbierane przez błędnik nie są zgodne, w efekcie czego mózg nie potrafi dobrze zinterpretować sytuacji związanej z położeniem i ruchem naszego ciała). Trudno więc chyba wierzyć w fakt, że zaklejenie plasterkiem pępka może coś w tej kwestii zdziałać. Dlaczego więc czasem pomaga? Po prostu plasterk uciska odpowiednie receptory – jego działanie można porównać do akupre-



B.M.W./CORBIS

3. Jak to możliwe, że gazy w żołądku mogą w kilka sekund powiększyć swą objętość kilkakrotnie?

5 a dwie główne przyczyny gromadzenia się gazów w żołądku. Pierwszą jest polykanie powietrza podczas jedzenia, a więc przy posiłkach lepiej nie zachowywać się jak wygłodniałe zwierzę. Drugą to bakterie żyjące w naszym przewodzie pokarmowym. To one wywołują różnorodne reakcje chemiczne i powodują gnicie niestrawionych produktów. Produkcja gazów związana jest więc z tym, co zjemy, bo im

szybciej fermentujące są nasze pokarmy, tym bakterie gwałtowniej działają. Aby pozbyć się tego problemu, najlepiej byłoby unikać białego cukru, maki, potraw smażonych, kalafiora, fasoli czy brokułów (niektóre osoby powinny również zrezygnować z produktów mlecznych). Ale czy umiemy sobie tego odmówić? Jeśli nie, pomóżmy sobie, wspomagając procesy trawienne, jedząc tymianek i czosnek.



Złot wściekłych ptaków

Za to, co robią, trafiają do więzień i psychuszek.
Ale zmieniają język sztuki. A ich sztuka może zmienić Rosję



– Kurator, organizator
– U nas nie ma takich
pojęć. Jestem po prostu
Dawid, a mój brat
siedzi w szpitalu
psychiatrycznym
– mówi Oganian

JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

Niektórzy z tej ponad dwudziestki młodych ludzi związanych z moskiewską sceną artystyczną do ostatniej chwili nie wiedzieli, czy dostaną wizy. Innych gryzą wyrzuty sumienia: zostawili w kraju przyjaciół, którzy siedzą za działalność artystyczną w więzieniu. Są w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Rozmawiają w muzealnej kawiarni, w westybulu. Grzebią coś w swoich laptopach, oglądają instalacje prac na pierwszej w Polsce wystawie współczesnej sztuki rosyjskiej.

Ekspozycja nazywa się jak popularna gra komputerowa: „Angry Birds”. W tej grze ptaki atakują świnię, kojarzone z władzą i przymusem. A wściekłe ptaki z Moskwy to głos Rosji, która od grudnia ubiegłego roku masowo wychodzi na ulice. Głos ten wykuwał się latami, bo ci artyści tworzyli pierwsze instalacje i happeningi jeszcze wówczas, gdy na opozycyjnych wiecach w Moskwie i Petersburgu zjawiała się zawsze ta sama garstka osób. Teraz głos ten dojrzał i nabrał siły. Co zapowiada?

– Zmianę – twierdzi Joanna Mytkowska, dyrektorka muzeum. – Jestem z pokolenia, które już jedną transformację widziało. Widziałam, jak powstawało nowe pokolenie artystów, które zaczynało mówić innym językiem. Miało inne źródła inspiracji, inne cele. To niesamowite doświadczenie i nie zdarza się co roku. Nie zdarza się nawet co dziesięć lat. A w Rosji nastał właśnie moment, kiedy sztuka zaczyna coś znaczyć dla społeczeństwa.

Oligarchowie albo wojna

Głos wściekłych ptaków z Moskwy brzmi o tyle bardziej donośnie, że rozlega się po latach ciszy.

– Od 2000 r. rosyjska scena artystyczna się kompletnie zamknęła – opowiada Mytkowska. – Interesowaliśmy się Rosją od dawna, braliśmy udział w dużym projekcie badawczym „Former West” o końcu koncepcji Zachodu. Zajęliśmy się właśnie Rosją, bo to nasz sąsiad i zarazem miejsce, o którym było mało informacji.

Mniej więcej do roku 2000 sceny artystyczne we wszystkich krajach, gdzie dokonała się transformacja, rozwijały się tak samo. Sztuka była krytyczna, stawiała się głosem zmian. Tak działało się mniej więcej wszędzie.

Ale potem wybory wygrał Putin i model demokracji zaczął się zmieniać. Praca artystów krytycznych przestała być możliwa. Można było trafić za nią do więzienia.

– Wtedy nasze kontakty się urwały. Nie było książek, wystaw – wspomina Mytkowska.

W tym czasie scenę artystyczną Rosji zaczęły reprezentować żony oligarchów. Sztuka stała się aspiracyjna: niemal każda milionerka marzyła o własnej galerii, a na aukcjach domów Christie czy Sotheby, które otworzyły oddziały w Moskwie, kupowano za rekordowe sumy dzieła najdroższych artystów świata.

– Topem tej sceny był Garaż finansowany przez Abramowicza i jego partnerkę Daszę Żukową – mówi Mytkowska. – To naprawdę świetnie działająca, piękna przestrzeń. To dostęp do wysokiej jakości sztuki, tylko że sztuki, która nie ma nic wspólnego z tym samym społeczeństwem. Jest przywieziona.

Co działo się w tych „zamkniętych” latach 2000 poza reprezentacyjną fasadą prosperity, umiłowania Putina, kreacji oligarchów? W sferze polityki za jedyną prawdziwą opozycję robiły „marsze niezgody”, na które liberałowie z desperacji chodzili ramię w ramię z bolszewikami. W dniach największej chwały potrafili wyciągnąć na ulicę kilka tysięcy osób – w 14-milionowej Moskwie i pięciomilionowym Petersburgu więcej ludzi schodziło w pobliskich stacjach do metra w godzinach szczytu.

W sferze artystycznej desperacki głos, który przebijał się na Zachód, wydawała z siebie radykalna grupa Wojna. Jej członkowie potrafili zainscenizować własną śmierć przez powieszenie w supermarkecie. Zrobić zakupy w przebraniu popa i swobodnie wyjść ze sklepu bez płacenia, aby pokazać, jak dużo może w Rosji Cerkiew. Czy wreszcie wyzwolić „artystyczną erekcję” 65-metrowego fallusa na przeciw siedziby Federalnej Służby Bezpieczeństwa podczas akcji „Chuj w niewoli FSB”. Członkowie Wojny za swe happeningi siedzieli na ławie oskarżonych, aż w końcu grupa rozpadła się na cztery części.

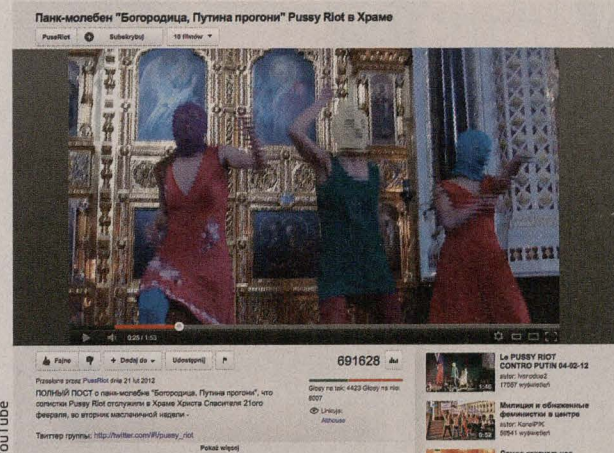
– Mamy teraz Wojnę petersburską, moskiewską i dwie inne grupy, w tym moją – Bombiły

– wyjaśnia Anton Nikołajew, który wymyślił akcję z popem w sklepie, a także namalował obraz przedstawiający rosyjskie „Angry Birds”, umieszczony na plakacie reklamującym wystawę.

Mateczka Rosja, macocha Rosja

Dzisiejsze wściekłe ptaki mimo młodego wieku mają na koncie nie tylko desperackie akcje, ale także nagrody, międzynarodowe wystawy i pokaźny dorobek. Jak kurator i artysta Dawid Ter Oganian: 30-latek, który brał udział w budowaniu sceny moskiewskiej od połowy lat 90., a niedawno wystawiał w New Museum w Nowym Jorku. Wiedeńskie Muzeum Sztuki Współczesnej przyznało mu prestiżową Henkel Art Award.

– W Rosji powstają grupy artystyczne samorganizujące się. Nasi goście to jedna z nich,



Dziewczyny z Pussy Riot wykonały w soborze Chrystusa Zbawiciela utwór „Modlitwa punkowa”

animowana głównie przez Ter Oganiana. Nie mają programu, galerii, utrzymują kontakty totalnie nieformalne. Celem wystawy jest uchwycenie zmian na scenie moskiewskiej, ale to nie znaczący, że są tu artyści tylko z Moskwy i Rosji. To ciekawe, że mają dużo kontaktów międzynarodowych w krajach postsowieckich, ale nie tylko. To intelektualni liderzy tej sceny – mówi Mytkowska.

Artyści goszczący w Polsce rysują nam obraz dekady, o której tak mało wiemy. Jest tu Rosja demonstrująca: Iwan Brażkin w swej instalacji daje głos tym, których nikt nie chce usłyszeć. Jego praca „Rebel karaoke” to nagrania manifestacji z różnych miejsc, przetworzone na formę karaoke. Oglądając je, można się przyłączyć do każdego protestu.

Jest Rosja, która nadzoruje. W pracy „Control Yourself” Wala Fietisow daje widzom okulary

video. Gdy mamy je na nosie, dzięki systemowi kamer widzimy samych siebie krążących po wystawie. Fietisow stworzył też pracę „Installation of Experience”: wchodzimy do pomieszczenia, którego drzwi automatycznie się zamykają. Dopóki staramy się je otworzyć, ani drgną. Dopiero gdy zaniechamy starań i zniechęcimy na pół minuty, mogą nas wypuścić.

Mamy tu Rosję wielkich możliwości, ale i ograniczeń, marazmu. Jak w pracy „Pravie film” – historii czterech osób, które mają pomysł na obraz. Nie wiemy, czy uda im się go zrealizować, nie wiemy, na ile realne są ich plany.

W pracy Miszy Mosta jest Rosja putinowskiej „suwerennej demokracji”, która coraz mniej przypomina demokrację. Seria graffiti „Dialogi” angażuje niczego nieświadomą straż miejską. Jej przedstawiciele wypełniają po prostu obowiązek zamalowywania graffiti

– a jednak gdy pokrywają białą farbą którąś z prac pod nazwą „Artykuły konstytucji”, unicestwiają konstytucyjny tekst mówiący o prawach człowieka. I – chcąc nie chcąc – wchodzi z konkretnej pozycji w dialog: z artystą, z ludźmi.

Znajdziemy tu Rosję kobiet, feministek (jak choćby u Poliny Kanis czy Aleksandry Gałkińskiej). I Rosję imigrantów, którzy dla wielu obywateli są niczym „Straszydła” (rzeźby instalacje Iriny Koriny). Artyści mierzą się z prawosławiem, przetwarzając religijne treści w formach syberyjskiego punk rocka i ulicznego graffiti (Igor Szuklin, Anton Nikołajew). Mierzą się z politykami, żebrząc na ulicach w maskach prezydenta i premiera

(ukraińska grupa SOSka). Odkrywają przed nami Rosję we wszystkich jej wymiarach.

– Tam jest strasznie ciężkie życie, dlatego ci artyści tacy są – mówi Mytkowska. – Trudno przeżyć, jeżeli jeszcze chce się robić to, co się chce.

I jeśli wściekłym ptakom się to udaje – płacą wysoką cenę.

Kraty, czyli codzienność

Dawid Ter Oganian ma burzę czarnych włosów i spojrzenie, przez które dilerzy na ulicach wielkich miast proponują mu zawsze heroinę.

– Kurator, organizator – u nas nie ma takich pojęć. Jestem po prostu Dawid, a mój brat siedzi w szpitalu psychiatrycznym – mówi na wstępie.

To artysta, o którym Mytkowska opowiada: – Jest takie rzadkie doświadczenie w naszym zawodzie, którego nie miałam, od kiedy →



Magda Starowiejska

→ polska scena się ustabilizowała – że spotyka się kogoś, kto ma moc nazywania od nowa. Widać, że wymyśla nowy język sztuki, że potrafi i ma talent. Jest wielu artystów, ale takich, którzy są w stanie nieść zmianę w języku sztuki, bardzo mało.

A Dawid ma nie tylko talent i brata w psychuszkach, ale także słynnego ojca. Awdiej Ter Oganian w latach 90. założył w Rostowie nad Donem grupę Sztuka albo Śmierć, a w Moskwie grupę Radek, w której pierwsze kroki stawiał właśnie jego syn. Zaś w 1998 r. zrobił performance, w którym rozbijał toporem kopie prawosławnych ikon. A potem to już musiał na stałe wyemigrować do Czech.

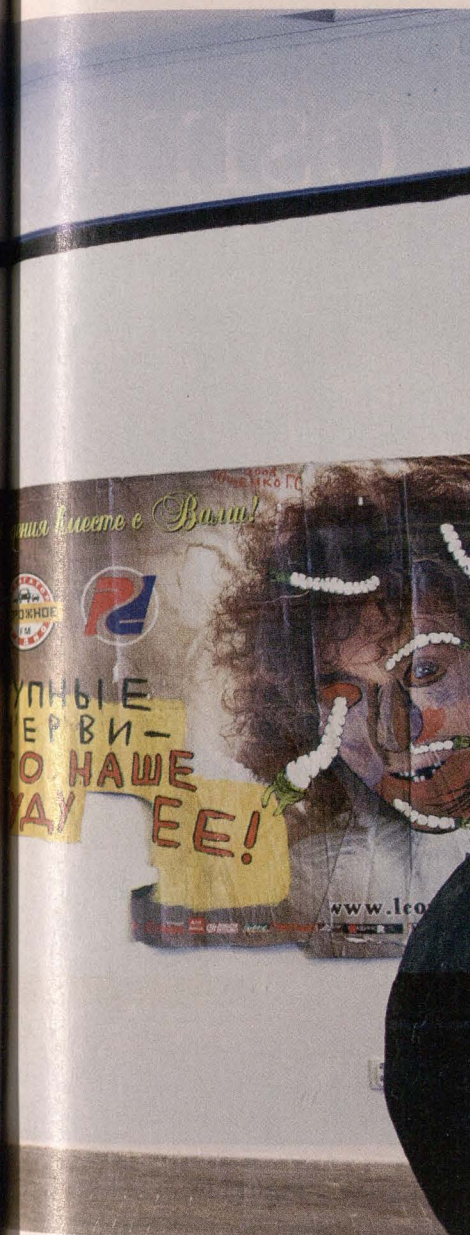
– I od dziesięciu lat mojego młodszego brata zabierają na przymusowe ośiadki

w psychuszkach – mówi Dawid. – Wszyscy bandyci w naszej dzielnicy go szanują, bo wiedzą, że siedzi za ojca. A ostatnio zabrali go na dwa dni przed moim wyjazdem na wystawę. Bo sąsiedzi donieśli, że jest agresywny. Przy czym on jest zupełnie normalny, a oni pracują w FSB. Zabrali go bez ustalenia imienia i nazwiska. To znaczy, że wywożą go gdzieś poza Moskwę, aby określić jego tożsamość. Dzwonię przez Skype do taty, tata w Pradze, mama w Ameryce. Chodzi o to, że sąsiedzi zapomnieli, iż on nazywa się Ter Oganian, ten sam Ter Oganian, na którego regularnie nasyłają policję. A on sam nie może się przedstawić, bo jest uznany za nienormalnego. Dokumenty? Jak im pokazać dokumenty? Gdy mnie zatrzymali, jak wracałem ze swojej wystawy

we Francji, położyli mnie na ziemię, przyłożyli kałasznikowa do pleców, ręce na wznak, nikogo nie interesują dokumenty. No, koniec końców brat wylądował w psychuszcze, a ja nie mogę go wyciągnąć. Nie ma innych krewnych w Moskwie, tylko mnie, a jako artysta ja też jestem uznany za nienormalnego. Mam nawet na to zaświadczenie z pieczętką. Zdecydowałem się przyjechać na wystawę mimo to.

„Mimo to” przyjechał też Nikołajew. I cały czas zamiast opowiadać o swej pracy, mówi o swoich przyjaciółkach. – Gryzłem się, czy jechać, czy nie, bo w więzieniu zostały dwie dziewczyny z Pussy Riot – wzdycha.

To one w kolorowych sukienkach i kominiarkach wykonały w najważniejszej moskiewskiej cerkwi, soborze Chrystusa Zbawiciela,



Magda Starowiejska

„Modlitwę punkową”. Prosiły w nim Bogurodzicę, by przepędziła Putina. Z pięciu członków zespołu dwie trafiły do więzienia. – Grozi im siedem lat. Czekają w areszcie na wyrok. Nie pomogły argumenty, że wcześniej nie były karane, że mają małe dzieci. Będę tu rozlepił plakaty nawołujące do uwolnienia Pussy Riot. Staram się nagłośnić sprawę wszędzie, gdzie jeżdżę na wystawy – mówi Nikołajew.

Wątpliwości, wiara, praca

Czy mimo szykan wściekłość ludzi takich jak przyjaciele Dawida może w Rosji coś zmienić? Gdy muzeum nawiązało pierwsze kontakty z artystami, nie wierzyli, że w kraju coś drgnie.

Mytkowska: – Stopień frustracji Rosjan, których spotykałam w Moskwie zeszłej jesieni,



był taki, że i tak jestem szczęśliwa i zdumiona, że teraz 20 tys. ludzi wychodzi na ulicę.

Wychodzą, ale czy wierzą, że się uda? Skoro nawet wściekłym ptakom trudno uwierzyć we własną moc?

Ter Oganian: – Wymyśliłem nazwę wystawy, wszystko wymyśliłem. A ponieważ mam opinię nienormalnego, gdy zapraszałem kolegów, pytali, czy to muzeum w ogóle istnieje. Mówiłem: tak, istnieje, w Warszawie, sprawdźcie na stronie. To pytali, czy już piszą o nas na stronie. Nie wierzyli w to zaproszenie.

A jeśli już uwierzą, jak ich wspierać?

Mytkowska: – Jeżeli będziemy mieć pierwsi wiedzę o nich, to w międzynarodowym systemie możemy im pomagać, wysyłać na stypendia, stać się instytucją, w której mają oparcie.

To już zaczyna się dziać, choć to długi proces. Dziesięć lat temu my dostawaliśmy takie wsparcie z Niemiec. Za to, że byliśmy ważni społecznie, oni dawali granty. Teraz pałeczka jest po naszej stronie.

A gdy już ptaki rozwiną skrzydła, co z tego wyniknie?

Ter Oganian: – Rosja to wielki kraj i przyszłość przed nami wielka, a teraźniejszość – niepojęta. Staramy się uczynić ją bardziej zrozumiałą. Nasz czas jeszcze nie nadszedł. Nadejdzie czy nie nadejdzie? Kiedy to będzie? Nie wiem. Ale teraz trzeba pracować. Pracujemy. ●

„Angry Birds”, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa, ul. Pańska 3, wystawa czynna do 6 maja

PIOTR BIELSKI

Na początku był film dokumentalny „Rytm to jest to”. Mateusz Cieślak zobaczył go w czasie studiów śpiewu operowego na łódzkiej Akademii Muzycznej. – Zacząłem wtedy myśleć inaczej o muzyce, sztuce i ich przeznaczeniu – wspomina.

Historia powstania baletu „Święto wiosny” Strawińskiego, w której tańczyli profesjonaliści i amatorzy wraz z młodymi ludźmi z przedmieść Berlina i uchodźcami, zafascynowała go. I nie miał już wątpliwości, że chce stworzyć coś podobnego w Łodzi.

Z pomysłem na „Oratorium” – spektakl angażujący tancerzy i amatorów – chodził od drzwi do drzwi przez dwa lata. W końcu w Urzędzie Marszałkowskim urzędnicy ze znużonymi minami po obejrzeniu jego prezentacji w PowerPoint westchnęli: „No dobra, rób to”. Teraz potrzebny był reżyser. I tu na drodze Cieślaka stanął Tomasz Rodowicz.

Dyrektor teatru Choreo współtworzącego Fabrykę Sztuki w Łodzi towarzyszył w poszukiwaniach Jerzemu Grotowskiemu, a później przez długi czas współtworzył Ośrodek Praktyk Teatralnych Gardzienice. Do Łodzi przeniósł się przed paru laty. Bo poczuł, że na lubelskiej wsi, w enklawie wysokiej sztuki i domowych pierogów, odciął się od tego, co się dzieje na świecie.

Choć więc część jego obecnego zespołu odradzała mu realizację tak trudnego spektaklu w kilka miesięcy, ten podjął wyzwanie. Była wiosna 2011 r. Choreo zaczęła szukać chętnych do projektu.

5, 30, 60...

Przekopaliśmy się przez wszystkie możliwe szkoły, zakłady, świetlice. Wybieraliśmy takie dzielnice, gdzie procent biednych mieszkańców jest większy – opowiada Julia Jakubowska, aktorka i instruktorka Chorei.

Młode talenty znalazły się w Monarze, Ochotniczych Hufcach Pracy czy ośrodkach resocjalizacyjnych.

Melania Dominiak, wychowawczyni z Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii nr 3 w Łodzi, od lat myślała o tym, żeby młodzież z jej ośrodka wyszła na ulice miasta z działaniami happeningowymi, najlepiej tanecznymi. Gdy usłyszała propozycję Chorei, nie miała żadnych wątpliwości. Powiedziała dzieciakom – zgłosiło się sześcioro, ostatecznie wytrzymała czwórka.

– To wszystko wymagało od nich dużej odwagi – mówi Dominiak. – Im jest trudno się ruszać przed innymi, są tak krytyczni wobec siebie, że często nawet nie próbują.

Kinga Seroczyńska, uczennica Gimnazjum nr 46 położonego w okolicy Górniaka, raczej nie najbogatszej części Łodzi, zdziwiła się, kiedy do jej gimnazjum zawitali instruktorzy i zabrali chętnych uczniów do sali gimnastycznej. Przyszli jeszcze parę razy do szkoły, a później... taniec i śpiew kilka razy w tygodniu w różnych punktach miasta.

Ale Choreo założyła sobie, że na scenie staną nie tylko dzieciaki.

Basia Całka-Lisek wiele lat uczyła biologii w liceum, a po przejściu na emeryturę zaczęła pracować w klubie podwórkowym z dziećmi ze Śródmieścia i tańczyć flamenco. Właśnie wtedy, gdy próbowała trochę odpocząć od świata, znajoma zaproponowała jej, by przyszła na jedną próbę. Ostatecznie o dołączeniu do „teamu 50+” przekonali ją choreografowie.

Paula Tralewska powróciła do Łodzi po kilku latach pracy w Anglii i przebywała na urlopie

macierzyńskim. Nagle znajoma zwróciła się do niej z drobną prośbą o pomoc w montażu materiału z warsztatów Chorei, a potem zapytała ją, czy przypadkiem nie chciałaby zaśpiewać w spektaklu. Chciała.

W październiku zespół był kompletny – sto osób w wieku 5–60 lat. Ruszyła praca nad spektaklem.

Isć wspólnym krokiem

Początki nie były łatwe. Każdy chciał czegoś innego: hip-hopu, zaszycia się w kącie lub okazji, by się popisać. Jeden z podopiecznych Melanii Dominiak na pierwszej próbie podszedł do Tomasza Rodowicza, pociągnął go za sweter i zawołał: „Teraz ja chciałbym wam coś pokazać!”. Reżyser wytłumaczył mu, że to nie jest dobry moment, że na to przyjdzie jeszcze czas, ale teraz wszyscy muszą robić to, co każą trenerzy.

Życie w ośmiu ruchach



Nie chcieli nikogo zbawiać. Po prostu wzięli tych, którzy mieli błysk w oku i czuli impuls do podróży. Nie takiej na całe życie, tylko do jednej opowieści. I pokazali ją nie w jakiejś zapuszczonej piwnicy, ale w największej sali w Łodzi

– Raz nawet jedna z pań wylała na nas sok owocowy, żebyśmy się uspokoiли – opowiada Damian z MOS nr 3.

Zdarzały się i poważniejsze sprawy. Ale okazało się przy okazji, że grupa jest w stanie zacząć się kontrolować. Jeden z uczestników zabrał koleżance parę złotych. Po rozmowach z reżyserem i wychowawcą przyznał się. Przeprosił koleżankę i całą grupę, oddał też pieniądze. Długo jeszcze był uważnie pilnowany przez inne dzieciaki. „Nie rób nam obciachu!” – wołały. I nawet kiedy kilka razy zdarzyło się, że ktoś później znalazł pieniądze, od razu zgłaszał to instruktorce.

Sytuacja jednak szybko się unormowała. – Po paru próbach byli po naszej stronie, szliśmy wspólnym krokiem, byliśmy partnerami. Nie musiałam nawet do nich dzwonić. To oni dzwonili, żeby przeprosić, że np. spóźnią się 10 minut – mówi Jakubowska.

Zdaniem Kingi na próbach wytworzyła się niezwykła atmosfera.

– Nie było już kłótni ani wrywania sobie włosów – śmieje się.

Praca poza dyscypliną przyniosła i inne dobrane efekty.

15-letni Adrian z niecierpliwością czekał na każde spotkanie z tańcem: – Takie zabawy, że podchodziło się do innej osoby, głupie miny się robiło albo wszyscy próbowaliśmy odpalić w powietrzu motory – to pomagało się niczym nie przejmować. Fajna była też Mastrika, takie ćwiczenie na uspokojenie: plecy proste, ręce unosisz do góry i opuszczasz. Wdech, nosem, do góry i wydech w dół. To dobrze działa przy otwartym oknie. „Opowiedz historię z twojego życia za pomocą ośmiu ruchów” – takie proste ćwiczenie było punktem wyjścia do nowych choreografii – opowieści o psie, wypadku czy pytaniu „Jak żyć?”.

– Ja przyjrzałam się mojej nietolerancji wobec słabości ludzi w moim wieku – stwierdza Basia Całka-Lisek. – Uczyłam się wytrwałości, bo często miałam ochotę dać nogę.

Bardzo uważnie śledziła, jak prowadzący budują energię grupy.

– Niezwykle ważne było przebywanie razem, współdziałanie, niekoniecznie efekty pracy – opowiada. – No i cały czas przesłanie, żeby wszystko, cokolwiek robimy, bawiło nas, żebyśmy robili to dla siebie. Również na scenę posłali nas z tym życzeniem...

Majka Justyna, która opiekowała się grupą najmłodszych dzieci, podkreśla, że „mosty międzygeneracyjne” świetnie się sprawdziły.

– Ludzie powyżej pięćdziesiątki potrafili się bawić i podchodzić otwarcie do powierzanych im zadań, nastolatki uczyły się, że udawanie zwierząt albo okazywanie emocji jest całkiem normalne – stwierdza.

→ - Okazało się, że wszyscy potrafimy więcej, niż myśleliśmy - cieszy się Rodowicz.

Ale realizacja projektu do końca przypominała czeski film.

Łódź - miasto cudów

Mateuszowi Cieślakowi bardzo zależało na współpracy z Dance United, organizacją, która przygotowała spektakl pokazany w filmie „Rytm to jest to”. Pomysł nie wypalił głównie ze względu na zbyt wysokie na polskie możliwości stawki, jakich zażyczyli sobie Anglicy. Nieoczekiwanie pojawił się amerykański choreograf Robert Hayden. Gdy usłyszał, co może robić w Łodzi, zrezygnował z pracy nad innym spektaklem. Pomogli mu niezależni artyści z Łodzi, m.in. Pracownia Fizyczna i Moving Łódź, instruktorzy muzyki, śpiewu i tańca, którzy wypracowali wraz z Choreą nową metodę pracy z młodzieżą z różnych środowisk, również defaworyzowanych.

W Teatrze Wielkim nagle zmieniła się dyrekcja i wycofała się z obietnicy użyczenia sceny. Ale i tu znalazło się wyjście - pomoc zaproponował znany z koncertów klub Wytwórnia.

Wtedy szło już łatwiej. Dyrektor Filharmonii Łódzkiej Lech Dzierżanowski nie mając żadnych gwarancji, zaufał, że dwóch muzyków związanych z Choreą napisze mu utwór symfoniczny na 60-osobową orkiestrę i 100-osobowy chór. A w chwili podejmowania decyzji, na pytanie: „Gdzie są nuty?”, usłyszał: „Piszą się”. Tomasz Krzyżanowski i Maciej Maciaszek zdążyli skomponować i zorkiestrować obiecany utwór w krótkim terminie.

Restauratorzy przynosili jedzenie, a zwykli ludzie dawali na przykład kilka tysięcy na kostiumy, nie prosząc o nic w zamian.

Szalone tempo i wszystkie przejściowe kłopoty sprawiły jednak, że przed premierą jedynie obszerne fragmenty przećwiczone z udziałem orkiestry, tancerzy i chórów.

- Ryzyko porażki było ogromne. Ale zdarzył się cud o ogromnej sile oddziaływania - wspomina Tomasz Rodowicz. - To jest właśnie Łódź, tu dzieje się wszystko, co najgorsze, ale i najlepsze w Polsce. To chyba tylko tutaj mogło się udać.

Spawacz? To przeszkadza

Premiera „Oratorium” Chorei odbyła się 8 i 9 grudnia 2011 r. w wypełnionej po brzegi sali Wytworni. Emocje były ogromne, więc oczywiście nie mogło się obyć bez jakiegoś incydentu. Jednemu z dzieci tak zależało, by być widocznym, że w trakcie spektaklu wdarło się na scenę w momencie, w którym nie było przewidziane, i zaczęło tańczyć po swojemu. A siedzącemu w jednym z pierwszych rzędów wychowawcy pokazało uniesiony do góry kciuk.

- Potem mówiliśmy o tym głośno, z czego bardzo się cieszę - wspomina Melania Dominiak. - Bo w całym „Oratorium” były dwa elementy. Każdy osoba i jej kreatywność były ważne. A z drugiej strony była ogromna odpowiedzialność za to, by jeden wyskok nie posypał całości.

„Oratorium” - opowieści z życia łódzian przedstawione w formie antycznego widowiska - zrobiło wielkie wrażenie. Głosami czytelników łódzkiego oddziału „Gazety Wyborczej” zostało uznane za wydarzenie roku - otrzymało nagrodę Energia Kultury 2011. Na fali sukcesu Chorei chce rozwinąć swój projekt w szerszy, ogólnopolski program edukacyjny. Planuje współpracę z Narodowym Centrum Kultury, by zorganizować

pod koniec roku przegląd najciekawszych w Polsce projektów edukacji poprzez sztukę.

Oczywiście realizatorzy nadal będą pokazywać „Oratorium”.

- Szkoda, by takie dzieło było zagrane tylko raz, dlatego planujemy je powtarzać. By można było pokazać tym, którzy się nie odważyli - mówi Rodowicz.

To efekty artystyczne. A inne?

Mateusz Cieślak liczy, że spektakl wywoła dyskusję o społecznych problemach Łodzi i pokaże, że „talentów nie trzeba szukać za granicą, gdy mamy takie na miejscu”. I wspomina wydarzenie, które pokazało, jak ważna okazała się praca zespołu.

- Odwoziłem po jednej z prób 15-letnią dziewczynę, która mieszka pod Łodzią - opowiada. - Zapytałem, co o tym wszystkim mówią jej koledzy. Odpowiedziała, że się śmieją: „Aha, ty tańczysz?”. Nagle w radiu skończyła się muzyka i pojawił się materiał o „Oratorium”. I ona się rozplakała, mówiąc, że pierwszy raz słyszy w radiu o czymś, w czym sama bierze udział.

Tomasza Rodowicza bardzo cieszy to, że chłopak oddany przez matkę do MOS już wie, że pójdzie do szkoły gastronomicznej.

- A inny młody tancerz stwierdził, że pieprzy robotę spawacza, bo majster nie chciał go puszczać na próby - opowiada. - Podjął świadomą decyzję - rzuca robotę, idzie na bezrobocie i mówi mi, że znajdzie sobie jakąś pracę, która nie będzie mu przeszkadzać w tym, co dla niego najważniejsze. Cóż, były jasne, twarde zasady, którym nie wszyscy sprostali: gdy robimy razem sztukę, to musisz być w tym na 100 proc. Inaczej kompromitujesz się przed ludźmi, oni wyczuwają, że robisz coś na pół gwizdka.

Kinga Seroczyńska jest podobnego zdania. - Nauczyłam się nie tylko technicznych rzeczy, ale i takich wewnętrznych - mówi. - Bardziej chcę coś udowodnić. A jaka radocha z osiągnięcia celu! Czuję się spełniona, mam lepszy humor, daję więcej z siebie.

- Poznałem dużo kolegów i koleżanek, utrzymujemy kontakty na Facebooku. No i widzimy się na próbach, choć teraz to tak trochę rzadko, raz na tydzień - mówi Damian z Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii nr 3 w Łodzi.

- Na scenie miałem ogromne wrażenie, że się nie uda, że wszystko zapomnę - zdradza 10-letni Andrzej z MOS. - Ale nie przestraszyłem się i udało się. A teraz niecierpliwie czekam na nasz kolejny występ w Łodzi i ten w Warszawie.

Gdy zęgnąłem się z Andrzejem, zapytał mnie jeszcze przejęty: „A wie pan, czy tam w Warszawie to będzie jakiś prezydent albo coś?”. •

Okrucjata i Złobro



TOMASZ PIĄTEK
Autor felietonu
jest pisarzem

Starczy spojrzeć na mój profil
By zobaczyć, żem zoofil
Zdradza to mej twarzy kształcik
Że uwielbiam ptaki gwałcić

Taki wierszyk powiedziałem dzisiaj papudze Zebkowi, przez „ptaki” rozumiejąc oczywiście prawdziwe ptaki, takie jak Zebek - nie była to aluzja do męskich narządów płciowych, była to aluzja do Zebka.

Usłyszawszy tę aluzję, Zebek zaczął walczyć ze Złem. Wydzielił z siebie drugą, złą papugę, czyli Złebka. Zebek jest zieloną żaką, Złebek jest zeźloną żaką. Gdyby słowo „jest” dało się jakoś zeźlić, to też by pasowało do Złebka. Gdyby słowo „jest” dało się jakoś zeźlić, to by pasowało do wszystkiego. Bo wszystko o wiele bardziej złe niż jest.

Walka Zebka ze Złebkiem też była zła. Skrzesząc: „Wzrost gospodarczy!”, Zebek zaatakował Złebka dziobem. A następnie szybko

zniósł jajko, wydobyl z niego embrionalnego pisklaka i dał Złebkowi na pożarcie. Od razu pojawiło się pytanie (w formie neonu na ścianie): Czy Zebek w tej walce reprezentuje Dobro? Czy może raczej Złobro?

Sądziłem, że postawa Zebka jest wynikiem wierszoku, czyli szoku po wierszyku. Ale potem zdałem sobie sprawę z tego, że Zebek naśladuje przykład Narodu Przodującego. Amerykanie, bo któż by inny, stworzyli wspaniały model Krucjaty Przeciwno Złu. Ta Krucjata to Okrucjata. Na czym polega Okrucjata? Leciemy do Afganistanu, palimy Koran, bombardujemy wioski, zabijamy kobiety i dzieci, sikamy na zwłoki, obcinamy im palce na pamiątkę, ale mimo to nadal jesteśmy Dobrem, albo przynajmniej Złobrem, bo jeśli my sobie stamtąd pójdziemy, to przyjdą talibowie, a oni będą jeszcze okrutniejsi niż Okrucjata. Na okładkach naszych pism publikujemy zdjęcie dziewczyny z obciętym nosem i piszemy obok wielkimi literami: „To się będzie działo, jeśli wyjdziemy z Afganistanu”. I ja w to wierzę. Ja jestem człowiekiem prostym, gdy mam wybrać Zło lub Dobro, wybieram Złobro. Godzę się na obcinanie palców, byle nie było obcinania nosów. Niech będzie nawet, że popieram Okrucjatę, aby tylko nie przyszli ci straszni talibowie. A potem czytamy w „Gazecie Wyborczej” artykuł Wojciecha Jagielskiego, a w nim: „Wciągnięcie talibów do systemu władzy to ważny punkt zachodniego planu ewakuacji z Afganistanu (...). Zamiast walczyć o władzę, talibowie woleliby ją otrzymać w zamian za pokój”.

Zaraz, czegoś nie rozumiem. Przecież robiliśmy te wszystkie straszne rzeczy, żeby po-

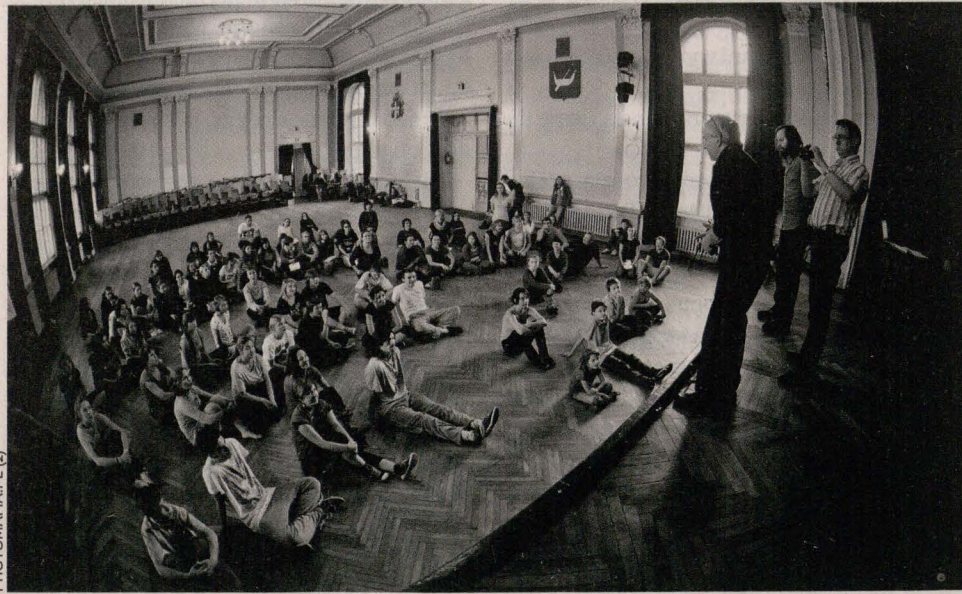
wstrzymać jeszcze straszniejszych talibów. A teraz się okazuje, że robiliśmy te rzeczy, żeby oddać im władzę. Czy jesteśmy ich wrogami? A może sojusznikami w okrucieństwie? Czy po to obcinaliśmy palce, żeby znowu obcinano nosy?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie brzmi: Yes. Na tym właśnie polega Okrucjata. Szczególnie Okrutna Krucjata. Nie ma w niej żadnej innej logiki jak tylko logika jednego i tego samego okrucieństwa po obu stronach. Złobro dogaduje się w końcu ze Złem, bo też jest Złe.

Zastanawiam się, jak Amerykanie zastosują tę logikę u siebie, na przykład wobec swoich ulubionych bohaterów, czyli morderców. Amerykanie lubią ich podziwiać, a następnie smażyć na krześle elektrycznym. Może teraz zaczną ich podsmażać tylko trochę, słabym prądem. Najpierw prąd puszcza, potem wypuszczają. I będą się cieszyć, że podsmażony znowu morduje. Albo może pozwolą silniejszym mordercom wykonywać wyroki na słabszych, w jakiś malowniczy, widowiskowy sposób.

Taka logika zwycięża w Waszyngtonie, więc zapewne zwycięży też w Naszyngtonie (Naszyngton to to samo co Waszyngton, z tym że Waszyngton jest Wasz, a Naszyngton jest Nasz). Mam nawet kandydata na Naszego Przedstawiciela Złobra. Byłby to oczywiście Zbigniew Złobro.

Żeby oderwać się od tych przykrych rozważań, postanowiłem, że nauczę Zebka (a może Złebka) mówić: „Ciasteczko”. Ale on najpierw długo nie reagował na moje wysiłki, a potem powiedział: „Znam cię. Już jako dziecko próbowałeś dokonać aborcji na bałwanicy śnieżnej”. •



REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaz 1 % podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



Wszystkie jego winy



W kinie: mężczyzna po przejściach, chcący nadać swojemu życiu nowy sens. Prywatnie: obywatel odważnie mówiący o tym, co nie podoba mu się w jego kraju. Taki właśnie jest Sean Penn

JAKUB MAJMUREK

Znany jest ze starannego wybierania ról. Gra stosunkowo rzadko, tylko w tych projektach, do których jest w pełni przekonany. W ubiegłym roku zgodził się wziąć udział tylko w dwóch produkcjach: „Drzewie życia” Terrence’a Malicka i „Wszystkich odlotach Cheyenna” – amerykańskim debiucie uznawanego za wielką nadzieję kina włoskiego Paolo Sorrentino.

Oba filmy przedstawiają męczyzną przeżywającego kryzys wieku średniego, próbującego pogodzić się z przesładującym go wspomnieniem zmarłego ojca, rozwiązać ciągnące się od okresu dzieciństwa związane z nim urazy, pretensje i traumy. W obu filmach Penn gra przede wszystkim twarzą. Ciało jego postaci są jakby skrepowane, przytłumione, uśpione – są pod tym względem pełnym przeciwieństwem kinetycznej, ekspresyjnej

kreacji Harveya Milka z filmu Gusa Van Santa z 2008 r.

Zwłaszcza we „Wszystkich odlotach Cheyenna” od początku zwraca uwagę twarz: zmęczona, zniszczona, pokryta siecią zmarszczek i starannie nałożonym makijażem i szminką wyłania się spod oszpecających aktora długich potarganych czarnych włosów. Penn gra tu emerytowanego, wiecznie pogrążonego w depresji gwiazdora rocka, który choć od lat niczego nie nagrał i nie wystąpił na żadnym koncercie, to wciąż zakłada swój sceniczny kostium. Nawet kiedy wybiera się na zakupy do Tesco w swoim irlandzkim miasteczku. Jednocześnie głęboko gardzi swoją muzyką, sceniczną personą i legendą.

Na roli Cheyenne’a łatwo było się wywrócić, przeszarżować ją i przerysować. Penn radzi z nią sobie znakomicie, buduje ją oszczędnymi środkami, potwierdzając swoją pozycję świadomie realizującego filmowe projekty aktora.

Zanim Penn zaczął mieć możliwość wyboru, musiał przejść twardą szkołę.

Ucieczka z lat 80.

Zaczynał karierę w telewizji. Jedną z jego pierwszych ról jest występ w jednym z odcinków familijnego serialu „Domek na prelii” w latach 70. Na dużym ekranie zaczyna pojawiać się w latach 80. W tych pierwszych występach odbija się cała historia amerykańskiego kina gatunków tego okresu, zdominowanego – w przeciwieństwie do flirtującego z kontrkulturą kina amerykańskiego przełomu lat 60. i 70. – przez silnie konserwatywne treści, tematykę rodzinną i eskapistyczną.

Penn debiutuje w 1981 r. w filmie „Capstrzyk”. Jest to dość kuriozalny dla współczesnego widza przykład „kina reaganowskiego”, wyrażającego wartości przebiegającej właśnie w Stanach konserwatywnej rewolucji. Akcja rozgrywa się w szkole wojskowej dla młodych

kadetów. Gdy placówka ma zostać zamknięta w wyniku działań lokalnych przedsiębiorców budowlanych, ostrzających sobie zęby na atrakcyjne tereny, kadeci wszczynają bunt. Przejmują władzę w szkole i barykadują się w niej uzbrojeni po zęby do czasu, aż ich żądanie dalszej nauki w tym miejscu zostaną spełnione.

Z jednej strony mamy tu konflikt między dwoma elementami ideologii reaganowskiej Ameryki – militarystycznym „patriotyzmem” i zasadą wolnorynkowej maksymalizacji zysków. Z drugiej – zostają one jednak ze sobą w końcu pogodzone.

Penn nie gra w filmie pierwszych skrzypiec, rolę przywódcy buntu odtwarza Timothy Hutton, większą rolę ma także rozpoczynający wówczas karierę Tom Cruise.

Po „Capstrzyku” Penn wpisuje się w kolejne charakterystyczne dla dekady konwencje: gra w komedii dla nastolatków rozgrywającej się w liceum („Beztróskie lata w Ridgemont High”), szpiegowskim thrillerze zimnowojennym („Sokół i koka”, na planie którego spotyka się ponownie z Huttonem), rozliczeniowym filmie o wojnie w Wietnamie („Ofiary wojny”). Wybór filmów wydaje się tu zupełnie przypadkowy, nie wyłania się z nich żaden spójny projekt. Przyszły gwiazdor przechodzi biernie od jednej produkcji do drugiej. Cała jego późniejsza kariera wydaje się więc być próbą ucieczki od chaosu lat 80., od estetycznego i politycznego konserwatyzmu tamtego kina i tamtych ról.

Pokuta, wściekłość, groteska

O ile do roli gwiazdy wyniosła Penna „Nie spodzianka z Szanghaju” z 1985 r., gdzie zagrał wspólnie z Madonną, którą wkrótce po zakończeniu zdjęć miał poślubić, to właśnie „Ofiary wojny” Briana De Palmy potwierdziły w pełni jego możliwości jako aktora, zapowiadając poniekąd role, jakie będzie wybierał w przyszłości.

Grany tu przez niego sierżant Tomy Meserve jest przywódcą oddziału, który dopuszcza się gwałtu na wietnamskiej dziewczynie. Jeden z żołnierzy, Erikson (Michael J. Fox), odmawia aktywnego udziału, ale nie jest w stanie powstrzymać kolegów i ocalić Wietnamki. Później walczy z poczuciem winy, zastanawia się, czy donieść na kolegów i czy to w jakikolwiek sposób przywróci sprawiedliwość i zadośćuczyni złu. Wyrzuty sumienia nie opuszczają go zaś nawet na starość.

Postać Penna to psychopatyczny sierżant, ale jego późniejsze, najlepsze

role będą raczej portretowały mężczyzn w podobnej sytuacji życiowej do Eriksona.

Są aktorzy, których różne wcielenia łatwo jest podsumować jednym zdaniem. Wiadomo na przykład, że Jack Nicholson na ogół grywa nadekspresyjnych, narzucających siebie światu ekstrawertyków. Tom Cruise – lekko narcystycznych, lecz na ogół prawych mężczyzn realizujących amerykański sen. Philip Seymour Hoffman zaś przykre, przegrane postacie, męczące się ze sobą i sobą innych. W przypadku Penna trudniej byłoby o taką charakterystykę, tym jednak, co łączy jego najlepsze kreacje, jest nieprzepracowane poczucie winy i wstydu, które kotłuje się w odtwarzanych przez niego postaciach. Każda wielka kreacja Penna to postać mężczyzny po przejściach na różne sposoby próbującego poradzić sobie ze swoją traumą, ośwoić ją, nadać jej sens.

Matthew Poncalet z „Przed egzekucją”, oczekujący na wykonanie wyroku śmierci mordercy, próbuje poradzić sobie z winą przez modlitwę i pokutę. Na przeciwnym biegunie znajdują się Jimmy Markum z „Mystic River” (rola, która przyniosła Pennowi Oscara) i Samuel J. Bicke z „Zabić prezydenta”. Pierwszy, nie mogąc poradzić sobie po śmierci zamordowanej córki, której nie był w stanie uchronić przed swoim przyjacielem, sam w krwawy sposób wymierza sprawiedliwość. Drugi nie może znieść wstydu i winy, jakie odczuwa będąc osobą przegraną na wszystkich frontach: zawodowym – jako bezrobotny nieudolny sprzedawca – oraz osobistym – jako mężczyzna opuszczony przez ukochaną kobietę. Rzecz dzieje się w nixonowskiej Ameryce, gdzie przegrywać w żadnym wypadku nie wolno. Bohater próbuje więc wywierać się z impasu, organizując groteskowy, nieudany zamach na prezydenta Nixona – symbolizującego dla niego system skazujący go na klęskę i upokorzenie.

Czy polityczny aktywizm Harveya Milka w kreacji Penna nie wynika także z mieszaniny



Sean Penn demonstruje przeciwko wojnie w Iraku, styczeń 2007

poczucia winy za pierwsze cztery dekady przeżyte w kłamstwie w Nowym Jorku i wstydu, w jaki osoby homoseksualne dawały się wpędzić amerykańskiemu społeczeństwu?

Cheyenne również skrywa mroczną tajemnicę z przeszłości, której nie potrafi ani przepracować, ani zapomnieć. Ze wszystkich udręczonych mężczyzn Penna ten sportretowany jest w tonie najbardziej ironicznym, lekkim, bardziej komicznym (choć jest to komizm melancholijny i gorzki) niż tragicznym.

„Nie” dla policjanta świata

Jeśli przyjrzeć się podejmowanym przez Penna rolom, widać, że uderzają one także w „winy” amerykańskiego społeczeństwa – dyskryminację osób homoseksualnych („Obywatel Milk”) czy karę śmierci („Przed egzekucją”). Sam Penn znany jest ze swojego zaangażowania politycznego, silnego zwłaszcza w okresie prezydentury Busha jr.

Wiele gwiazd Hollywood mniej lub bardziej wyraźnie angażuje się publicznie w poparcie dla takich spraw jak prawa mniejszości seksualnych czy w działalność charytatywną w krajach Trzeciego Świata. Penn jest jednak na ich tle o wiele bardziej wyrazisty.

Bo wbrew lamentom konserwatywnych publicystów zza oceanu nie całe Hollywood jest szczególnie lewicowe. Gwiazd otwarcie sprzeciwiających się np. polityce zagranicznej Stanów raczej nie ma zbyt wiele. A Penn w okresie poprzedzającym wojnę w Iraku wykupił za sporą sumę płatne ogłoszenie w „The Washington Post”, w którym wystosował list otwarty do prezydenta Busha w ostrych słowach krytykujący pomysł inwazji na Irak, „niepokojące kruszenie się wolności obywatelskich w Stanach” i żywione przez administrację Busha przekonanie, „że przeznaczeniem Ameryki jest odgrywać rolę policjanta świata”.

Pomagał osobiście ofiarom trzęsienia ziemi na Haiti, odwiedzał także skłóconych z Ameryką przywódców, takich jak Hugo Chavez czy Raul Castro. Nie wiemy, co nim kierowało w takich działaniach, nie wszystkie – zwłaszcza wizytę na Kubie – możemy uznać za szczególnie przemyślane. Ale w swojej roli jako osoby publicznej, obywatela Ameryki przepełnionego poczuciem winy za niesprawiedliwość, do jakich prowadzi polityka jego kraju i próbującego wyrównać je przez swoje zaangażowanie, Penn doskonale dopełnia swoje najlepsze ekranowe wizerunki – od Matthew Poncaleta przez Harveya Milka po Cheyenne.

PRZEMYSŁAW WITKOWSKI

O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju! Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju... W roku 1989 posypały się nowe nazwiska w poezji, na zawsze spychając nieco starszych kolegów w literacki niebyt. Parnas zatrzęsł się w posadach, bo oto nadchodzili barbarzyńcy – Świetlicki, Baran, Podsiadło, Sendek i wywracali zastane formułki wiersza, odrzucając dychootomię partia – plebania, sycąc się tym, co indywidualne, prywatne.

Dziś wywrotowy, często anarchizujący charakter poezji okółbruLionowej gdzieś się zatracił. Potencjał rewolucyjny został zgubiony – barbarzyńcy się ucywilizowali, a dawni kontestatorzy zasiedli w szacownych gronach, w licznych jury, za biurkami, w redakcjach. Symbolicznym zdarzeniem dla tego procesu jest nawrócenie się naczelnego „bruLionu” Roberta Tekielego i idąca za tym zmiana linii pisma na konserwatywną i ultrakatolicką.

Nerwy establishmentu...

Okoliczności debiutu pokolenia „bruLionu” są nieco podobne do kontekstu debiutu poetów Skamandra. Chcąc opisywać po roku 1918 już wiosnę, nie Polskę, skamandryci na długo zdominowali ówczesną scenę poetycką, a twórcy tej formacji – Tuwim, Iwaszkiewicz, Lechoń – do dziś są utożsamiani z poezją dwudziestolecia (dopiero po nich wymienia się awangardistów Wata czy Sterna). Podobnie, w naszej współczesnej recepcji, niezależnie od tego, co pojawiło się po „bruLionie”, poezję po „przełomie” zdominowali w wyobraźni publicznej autorzy związani dawniej z tym pismem.

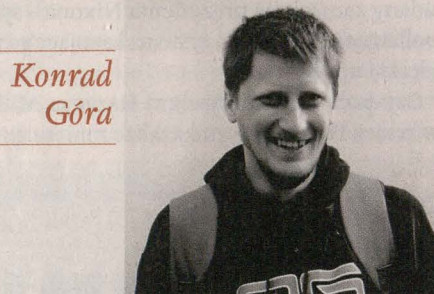
W przypadku eksbruLionowców mamy do czynienia z czymś w rodzaju akumulacji pierwotnej. Tak jak instalacja w Polsce porządku kapitalistycznego stworzyła pierwszą – uprzywilejowaną, bo działającą na swoistej ziemi niczyjej – grupę przedsiębiorców, którzy cokolwiek produkowali czy sprzedawali, i tak mieli zbyt, bo zapewniali pustkę, tak ta sama transformacja dała wyjątkową szansę jednej generacji poetów. Nowa rzeczywistość polityczna wymagała literatury dla liberalnie pojmowanej jednostki, literatury pozbawionej jakichkolwiek społecznych obowiązków – spełniającej się czy to w grach, czy to w eksploracji traum, stanów ducha i innych zdecydowanie prywatnych tematów i doświadczeń. I pojawiła się formacja, która spełniała mniej więcej te założenia.

Monopol pokolenia „bruLionu” ostatecznie się kończy. Prywatność w poezji ustępuje miejsca społecznemu zaangażowaniu. Przyszedł czas Kopyta, Góry i Pułki

Trzeba zabić starych poetów



Szczepan Kopyt



Konrad Góra



Tomasz Pułka

Sylvia Paprzycka (3)

Powódź dziejowa zmyła w niebyt autorów debiutujących w latach 80., zaś poetom wywodzącym się z „bruLionu” udało się osiągnąć to, czego później, mimo naprawdę dużych nakładów sił i starań, nie udało się uzyskać żadnej innej grupie. Takiej dominacji w popularnym obiegu nie osiągnął później już nikt.

Powstał wzorzec – jeżeli poezja, to anglosaska, jeżeli temat, to język albo prywatność, jeżeli gry i zabawy, to i owszem. Tak jak w polityce podważenie zasad liberalnych powoduje masowy sprzeciw aparatów władzy – polityków, „ekspertów” i mediów głównego nurtu, tak w literaturze, odchodząc od tego wzorca z Sevres, łąduje się z etykietką socrealisty, autorki „literatury menstruacyjnej”, twórcy zideologizowanej grafomanii. Wiersz poety z dzisiejszego poetyckiego establishmentu niewiele ma wspólnego z kontekstem społecznym i pozostaje najczęściej tekstem hermetycznym dla nieobeznanego w postmodernistycznych kodach, zabawach i grach czytelnika. Nie od parady Platon postulował, że poetów należy z doskonałego państwa wydrzeć – w tym wypadku oddelegować do pracy na odcinku własnej jaźni albo do oglądania pod światło ze wszystkich stron swoich własnych narządów, do zabaw w grupach i podgrupach, żeby nigdy, przenigdy nie zajęli się rzeczywistością polityczną.

Tymczasem na zdrowym ciele polskiej poezji, gdzie już na zawsze miały królować prywatność i indywidualizm, pojawiła się denerwująca establishment wysypka – poeci zaangażowani. Tak jak fala wyżu lat 80. zderzyła się z zabunkrowanym przez beneficjentów transformacji rynkiem pracy, tak w poezji kolejne fale odbijały się od umocnień, za jakimi tkwili Sendek, Świetlicki czy Sosnowski. O ile jednak neolingwiści, neoklasycyści, poeci katolicy i ci z nurtu ośmielonej wyobraźni polegli w boju z pokoleniem „bruLionu”, o tyle teraz pojawiła się szansa, że do mainstreamu przebiją się nowe głosy. Naprzeciwko zakorzenionym w establishmentie bruLionowcom staje pokolenie twórców zdecydowanie deklarujące się po stronie lewicy.

... wściekłość anarchistów

Poznaniak Szczepan Kopyt – basista yassowy, wokalista i komunista, wrocławianin Konrad Góra – aktywista Food not Bombs, recykler, anarchista oraz krakowianin Tomasz Pułka – koneser substancji psychoaktywnych i ich piewca. To oni będą wyznaczać

głos nowej polskiej poezji, spychając obecnych 50-latków do roli nobliwych klasyków – dziadków. Na scenę poetycką, oprócz wymienionej trójki wkraczają już przecież następni twórcy wychodzący poza foremkę prywatności, intymizmu i emocjonalnej introspekcji, w której już na zawsze tkwić miała polska poezja – poeci happenerzy Robert Rybicki i Adam Kaczanowski, slamerzy Dawid Koteja i Kuba Przybyłowski czy poetka i wokalistka punkowego zespołu Posing Dirt Kamila Janiak.

Dzięki niestrudzonemu działaniu takich ośrodków jak krakowska Korporacja Ha!art i warszawski Staromiejski Dom Kultury rewidowane są dykcje awangardowe, lingwizujące, dadaistyczne, poszukujące, liberaturna. Poezja zaczyna wychodzić z parnasistycznej niszy, flirtując z muzyką i obrazem, by w wykonaniu duetu Łukasz Podgórni i Roman Bromboszcz stać się już częścią sztuki nowych mediów, a polityka zdaje się nie opuszczać dzieł młodych twórców.

Ci młodzi twórcy utożsamiają się często z jej radykalniejszymi nurtami lewicy. Anarchizm, komunizm, socjalizm przeżywają

w środowisku młodoliterackim swoisty renesans. Dla Konrada Góry anarchizm to głównie wyzbycie się złudzeń co do ludzkiej natury bez chęci zaakceptowania jej. Kopyt coś tam napisał o nagim społeczeństwie, ja bym mógł to zripostować chęcią życia nagim życiem. Nie ma idei innej niż anarchizm, która uznawałaby to za swój istotny filar. Dlaczego komunizm? – pytam Szczepana Kopyta.

– Bo nie kapitalizm – odpowiada. – I bo nie kapitalizm państwowy. Komunizm to ruch, który znosi stan obecny, budując świadomość dobra wspólnego poprzez sieci społeczne, które stara się budować. A wiersz? Wiersz, jak pisał Enzensberger, wiersz, to jedyny owoc sztuki, którego nie można spieniężyć.

Ta niewielka 20-letnia przerwa w polskiej poezji, gdzie sprawy wspólnotowe zostały z niej wyparte, zaczyna się zasklepać dzięki doskonałej twórczości młodych poetów aktywistów. Grupa ta zaczyna dominować i wyznaczać kierunek, staje się dla młodszych twórców punktem orientacji – raz uwielbienia, raz niechęci. Świadczą o tym nominacje do Nagrody Gdynia i Paszportu „Polityki” dla Szczepana Kopyta, Silesius dla Kiry

Pietrek czy wrocławskie WARTto dla Konrada Góry i szeroka recepcja krytyczna ich książek. Dlatego już dziś lepiej przyswoić te nazwiska, bo jeszcze długo będą swoją twórczością irytować rasistów, homofobów i zadowolonych z siebie mieszczan.

Będą, bo pytany, co sądzi o elitach świata poezji Tomasz Pułka, odpowiada: – Mieliśmy kiedyś z Podgórni plan, żebyśmy się najadli makaronu z sosem i szpinakiem, gar cały, i później poszedł z ciepłą wódką w kieszeni na jakiś raut w Jamie Michalika, gdzie prześiadują Turnau i Zagaj, i się zerzygał obficie. Zapytany z kolei o Marcina Świetlickiego i Adama Zagajewskiego odpowiada krótko: – Z trupami się nie zadaje.

Standardowe dla życia literackiego starcie pokoleń okazuje się być w tym wypadku również starciem o charakterze ideologicznym, gdzie po jednej stronie są syci i zadowoleni z życia poeci „bruLionu”, po drugiej coraz bardziej wściekła prekariacka młodzież, zdecydowana, aby zepchnąć starszych kolegów i ich wizję poezji z Parnasu do lamusa. I wszystko wskazuje na to, że tym razem będzie to co najmniej wyrównana walka. ●

REKLAMA



„Niektórym dzieciom brakuje zdrowia, ale mają marzenia. Ich spełnianie daje radość i nadzieję. Przekazany przez Państwa 1% podatku pomoże w realizacji pragnień naszych małych Marzycieli, przywracając uśmiech na ich twarzach i dając siłę do walki z chorobą.

Twój 1% może naprawdę wiele zmienić.”

Małgorzata Kożuchowska
Ambasador
Fundacji Mam Marzenie

Wystarczy, że wypełnisz odpowiednią rubrykę w rocznym zeznaniu podatkowym PIT – wpisz: 0000 177 137 lub Fundacja Mam Marzenie KRS 0000 177 137.

Tobie zajmie to kilka sekund, nam pozwoli przez cały rok spełniać dziecięce marzenia. Możesz zdecydować o przekazaniu środków na konkretne marzenie lub na rzecz konkretnego oddziału. W tym celu w rubryce „Informacja uzupełniająca” wpisz marzenie dziecka np. laptop, Disneyland lub nazwę jednego z 16 oddziałów Fundacji np. Kraków, Szczecin.

Twój 1% może wiele zmienić

www.mammarzenie.org

Miłość z zespołem Downa

Nie chcą budzić litości ani lęku. Marzą o niezależności, miłości i – choć jest im trudniej – życiu jak inni. Downom poświęcony jest nowy festiwal filmowy

MARTA DZIDO

Nitsan i Sagi są parą już od kilku lat. Choć ich związek akceptują najbliżsi, formalnie nie mogą zawrzeć małżeństwa. Mimo przeszkód decydują się na nieoficjalną ceremonię ślubną. To początek ich wspólnego życia i codziennych zmagani z rzeczywistością, w której nie ma dość miejsca dla inności. A Trisomia niczego im nie ułatwia.

Otto marzy o miłości. Nie udało mu się jednak do tej pory nawiązać z żadną z kobiet intymnej relacji. Za namową własnej matki wyrusza w podróż do Las Vegas, licząc, że tam „miłość” będzie mógł sobie kupić. Ma świadomość swojej wyjątkowości – nie każdy mężczyzna może pochwalić się dodatkowym chromosomem, o którym mówi się też, że to chromosom miłości.

Danny jest wokalistą zespołu punkowego. Spośród rówieśników wyróżnia go przede wszystkim czerwony irokez. Wolny czas spędza w pubie z przyjaciółmi, na koncertach i z dziewczyną. Któregoś dnia matka pyta go z troską w głosie: „Czy ty i Lizzie sypiacie ze sobą? Czy się zabezpieczacie?”. Danny wie, do czego służą prezerwatywy, i stara się ich używać, mimo że – jak większości osób z zespołem Downa – trudność sprawiają mu najprostsze czynności, jak posmarowanie masłem kromki chleba czy zawiązanie butów.

Ich historie będzie można poznać podczas pierwszej edycji festiwalu filmowego Upside DOWN. Przegląd nie bez powodu ma taką właśnie nazwę. Jego celem jest zburzyć stereotypy pojawiające się w myśleniu o niepełnosprawności. W Polsce relacja Downa a reszta społeczeństwa w dużym stopniu za sprawą mediów sprowadzona jest wyłącznie do wywoływania uczucia litości, obawy i źle pojmowanej poprawnności politycznej, co powoduje dystans i niemożność nawiązania głębszego kontaktu.

W zderzeniu z takim wizerunkiem osób z zespołem Downa o ich pragnienia nikt nie odważy się zapytać. Jedyne, co można zrobić w takiej sytuacji, to przekazać im 1 proc. podatku

i tym samym zwolnić się z odpowiedzialności za to, jak kształtuje się kultura naszej relacji z osobami niepełnosprawnymi. Niestety, dzieje się to dość często, a efektem tego jest obustronny brak zrozumienia.

Nie jestem ekspertką w dziedzinie genetyki, ale pozwalam sobie na sformułowanie myśli, że zespół Downa to nie choroba. Nie podobają mi się też określenia: wada, dysfunkcja. Filmy, które zostaną zaprezentowane podczas festiwalu Upside DOWN, pokazują, że tym,



Materiały prasowe

Festiwal filmowy Upside down, kino Muranów, Warszawa, ul. gen. Andersa 5, 24 – 25 marca 2012, organizatorzy: Stowarzyszenie Rodzin i Opiekunów Osób z Zespołem Downa „Bardziej Kochani”, Emotikonfilm, Fundacja Obiektyw-na

co uderza przy pierwszym kontakcie z Downami, nie jest ich niepełnosprawność, lecz szczerość, umiejętność cieszenia się z małych rzeczy, niezdolność do sztuczności. Brak cynizmu i prostota, z jaką postrzegają świat, to cechy, które my, pełni, tracimy w momencie wchodzenia dorosłość. I jeśli ktoś ma dysfunkcję czy wadę – to raczej społeczeństwo, dla którego normalność oznacza zgodę na manipulację, a niemówienie tego, co się myśli, jest przyjęte za dobry obyczaj i uprzejmość.

Wymienione na początku osoby oprócz tego, że mają zespół Downa, łączą jedno – świadomość własnej seksualności. Pytanie „Czy Down ma prawo być sexy?” tylko pozornie brzmi kontrowersyjnie i może wydawać się nie na miejscu. Przecież chodzi w nim o podstawowe prawa człowieka.

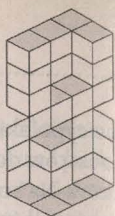
Seksualność to oczywiście niejedyny temat, który poruszają festiwalowe filmy. Szwajcarski dokument „Tak wiele rzeczy” (reż. Germinal Roaux) mówi o pracy. Główny bohater Thomas to pierwszy w tym kraju kelner z zespołem Downa. To zajęcie daje mu wiele satysfakcji. I mimo że wciąż mieszka z rodzicami – poczucie niezależności.

Z podobnym wyzwaniem – choć na innym poziomie – mierzy się bohater meksykańskiego filmu „Carmela” (reż. Guillermo López Pérez), który niekoniecznie rwie się do pracy, ale słysząc słowa: „Chcesz jeść, musisz pracować”, wychodzi wraz z matką z domu, by pomagać jej w sprzątaniu mieszkań innych ludzi.

Ważnym głosem w dyskusji o relacjach w rodzinie są „Little Hebert” (reż. Hébert Peck) i „My favourite child” (reż. Roger M. Richards). Pierwszy jest zapisem emocji, jakie towarzyszą parze młodych ludzi, którym rodzi się dziecko z zespołem Downa. Drugi zadaje pytanie o to, jak wygląda życie dorosłego Downa, gdy zabraknie już jego rodziców. Z kolei „Deedah” (reż. Brooke May) jest opowieścią siedmioletniej dziewczynki o tym, jak to jest mieć młodszego brata, który – jak sam twierdzi – ma „Up! Syndrome”.

W programie festiwalu jest się 15 filmów dokumentalnych i fabularnych m.in. z Australii, Szwajcarii, Meksyku, USA, Wielkiej Brytanii i Polski. Pokazowi izraelskiego filmu „Nitsan i Sagi” z udziałem reżyserki Hadasah Ben Herzl towarzyszyć będzie dyskusja o miłości, seksie i zespole Downa (niedziela, 25 marca, godz. 13).

Marta Dzido jest współorganizatorką festiwalu Upside DOWN, pisarką i reżyserką. To współautorka nagrodzonego The Hollywood Eagle Documentary Award filmu „Downtown – miasto Downów”.



UPSIDE
DOWN
FESTIVAL



RECENZJE

MUZYKA

Rock i jazz starszych panów

Dwójka z The Beatles nie musi dzisiaj niczego udowadniać. Bo ile razy można zmieniać historię? Ale zawsze można nagrać płyty dla przyjemności

Wydawać by się mogło, że żyjąca połowa The Beatles zastęga w formalinie. Nic bardziej mylnego. Sekcja rytmiczna najsłynniejszego zespołu w historii muzyki popularnej nie spoczywa na laurach, mimo że nawet przy podwyższonym wieku emerytalnym panowie dawno mogli by się udać na zasłużone wakacje. Tymczasem obaj, w tym samym czasie, wydali płyty z prawie premierowym materiałem.

Na albumie Starra znalazły się dwie przeróbki, a resztę stanowi materiał jego autorstwa lub współautorstwa. U McCartneya proporcje są odwrócone. Skupmy się na albumie Ringo Starra.

Perkusista nagrał typowy dla siebie, optymistyczny, wyluzowany album rockowy odwołujący się do muzyki lat 60. i 80. Oczywiście z małą pomocą przyjaciół z zespołu Toma Petty'ego, The Eagles, Eurythmics i jednego z najlepszych gitarzystów ostatniej



Paul McCartney
– „Kisses on the Bottom”,
Hear Music

dekady Kenny'ego Wayne'a Shepherd. Takie kawałki jak „Wings” czy „In Liverpool” doskonale sprawdzą się na stadionowych koncertach na całym świecie, których Ringo wciąż gra całkiem sporo. Za pomocą tego albumu Starr udowadnia, który Beatles jest najbardziej cool. „Ringo 2012” to 30 minut dobrze nastrojającego, bezpretensjonalnego rocka, bez większych ambicji.

Z kolei McCartney, największy ekolog wśród muzyków i największy muzyk wśród ekologów, nagrał album jazzowy. No, może smoothjazzowy. Wziął na warsztat amerykańskie standardy z lat 30. i 40., do których dołączył dwa własne utwory zagrane w tym samym duchu. I w tym przy-

padku nie obeszło się bez wielkich nazwisk jak: Diana Krall, Eric Clapton czy Stevie Wonder. Pytanie, czy można dodać coś więcej do klasyków typu „My One and Only Love”, który spopularyzował Frank Sinatra, a wiele lat później Sting w filmie „Zostaw Las Vegas”? Nie. Podobne można sobie stawiać przy każdym utworze. Tylko po co? McCartney nagrywając album z klasykami, postanowił spełnić swoje marzenie, realizując płytę z muzyką, przy której bawili się jego rodzice i którą on sam prześlą, będąc dzieckiem. Jeśli ktoś lubi romantyczną, swingującą, elegancką, a wręcz wytworną muzykę jazzową, która ma umilić i ocieplić wieczór czy romantyczne spotkanie, to „Kisses on



Ringo Starr
– „Ringo 2012”,
HIP-O Records/
UME

the Bottom” jest idealną propozycją. Spokojnie można ją postawić obok ostatnich albumów Leonarda Cohena, Roda Stewarta czy Boba Dylana. Skansen, ale z klasą.

Obie płyty raczej nie podbiją list przebojów, nie sprzedadzą się w zawrotnych, milionowych nakładach, ale dadzą pretekst do kolejnych światowych tras koncertowych, na których dwójka Beatlesów zarobi krocie. Zresztą trudno się oprzeć wrażeniu, że obaj nagrywają już tylko dla własnej satysfakcji i dobrej zabawy. Pieniądzy na pewno im nie brakuje. Wielkich płyt, singlowych utworów czy miejsca w historii tym bardziej.

JACEK NIZINKIEWICZ

Muzyczna podróż z wampirami

Koniec monopolu Tomasza Stańki i Leszka Możdżera na granie Komedy. Baaba wzięła na warsztat jego soundtrack do filmu Polańskiego z 1967 r.

Kłóśankę z „Dziecka Rosemary” potrafi zanuć każdy, ale temu przewodnikowi z „Nieustraszonych

pogromców wampirów” – prawie nikt. Do wąskiego grona wtajemniczonych należą członkowie Stereolab, Architecture in Helsinki, może Mike Patton i John Zorn oraz kilku maniaków horrorów i starych płyt jazzowych. Ostatnio dołączył do nich Bartek Weber – lider grupy Baaba.

Krótkie, lekko klasycyzujące tematy Komedy posłużyły mu za punkt wyjścia do wariacji z pogranicza jazzu, muzyki elektronicznej i metalu. Z ty-

powym dla siebie poczuciem humoru temat Seksownej Sarah (Sharon Tate) przerobił na absurdalny kawałek na automat perkusyjny i syntezator, figlarny motyw służącego Alfreda (Roman Polański) na zwirowane electro z gry komputerowej, a melodię Hrabiego von Krolocka wykonał oldschoolowo na moogu. Zdarzają się też złowrogie momenty z wampirami w tle, kiedy przyjemne easy listening zmienia się w ponury gotyk.

Na „The Wrong Vampire” znika zimowy klimat filmu Polańskiego, jest więcej grozy i groteski. Zostały jednak melodie, które będą śniły się wam po nocach.



Baaba & The
Fearless Vampire
Killers „The
Wrong Vampire”,
Lado ABC

Oni z głodujących miast

Czy godzi się karać cały naród głodem i zimnem? Czy cywilizowany świat ma prawo stosować zbiorową odpowiedzialność? Od tych pytań zaczyna się „Niemiecka jesień” Stiga Dagermana



Dagerman jako dziennikarz szwedzkiej gazety trafił do brytyjskiej i amerykańskiej strefy okupacyjnej w pierwszych latach powojennych. W przejmującym zbiorze reportaży ukazał życie mieszkańców zburzonych miast, dla których ziemia, jabłko czy pajda chleba stanowią symbole niewyobrażalnego luksusu. Ludzi, którzy zamieszkują wilgotne zagryzione piwnice, cudem ocalałe z bombardowań szkolne szalety czy dawne cele więzień gestapo. Dagerman wprowadza nas w świat, o którym wolelibyśmy nie myśleć – bo w polskiej, francuskiej czy amerykańskiej opowieści o złych Niemcach nie ma miejsca na rozważanie odpowiedzialności aliantów za los ludności cywilnej.

Najpierw chleb, potem moralność

Powojenny los Niemców jest już od lat przedmiotem zainteresowań historyków. Znamy liczby, skalę zniszczeń tamtejszych miast, ilość ofiar głodu. Wiadomo, że np. Dortmund zniszczony był w 54 proc., a Hamburg w 75 proc. W Kolonii – mieście przed wojną zaludnionym przez niemal 800 tysięcy mieszkańców – w 1945 roku znajdowało się już tylko 40 tysięcy ludzi. Tony Judt w „Powojniu” przypomina, że w amerykańskiej strefie okupacyjnej dzienna racja żywności wynosiła poniżej 1000 kalorii. O tym, jak głodowa to racja może świadczyć porównanie z obozami koncentracyjnymi – w Stutthofie przed 1945 rokiem było to 1500 kalorii, w Auschwitz 1300 do 1700 kalorii. Dziś w rozwiniętych gospodarczo krajach przeciętny mieszkaniec spożywa około 3000 kalorii dziennie. Wszystkie te dane mogą tylko sugerować, jak wyglądało życie w Niemczech w latach 1945–1947. Dagerman pokazuje konkretne losy ludzkie kryjące się za tymi liczbami.

zmu nie wynikał z ksenofobii czy głęboko zakorzenionego antysemityzmu – lecz z nostalgii za dobrobytem. A nostalgia – jak pokazują badania psychologiczne – to ludzka odpowiedź na biedę, pogarszającą się sytuację i wzrastające nierówności.

Stig Dagerman pisze swoją książkę ze szczególnej perspektywy. Przebija przez nią lewicowa wrzawka przybysza z zewnątrz, z kraju niezaangażowanego. Ta wrażliwość powoduje, że zastanej sytuacji nie mógł traktować jako sprawiedliwego rewanżu. Kwestie historycznej odpowiedzialności zamykały oczy innych dziennikarzy odwiedzających ówczesne Niemcy (w tym m.in. Polaka Edmunda Osmańczyka) na bezgraniczne cierpienia spowodowane – lub przynajmniej tolerowane – przez aliantów. Dagerman ma oczy otwarte. Również na skrajne nierówności, które pojawiają się w tak ekstremalnej sytuacji – pomiędzy głodującymi nędzarzami a mieszkającymi w ocalałych willach bogaczami, często dawnymi członkami nazistowskiego aparatu władzy.

Kobieta demokracja

Z lektury reportażu, napisanego w 1947 roku, można by wnioskować, że kraj ten jest tykającą bombą – że za chwilę dojdzie do erupcji przemocy, rewolucji bądź skrajnej kryminalizacji społeczeństwa. Tak się jednak nie stało. Niemcy już wkrótce odbudują się w historycznie bezprecedensowym tempie. Plan Marshalla pozwoli się podnieść niemieckiej gospodarce. Wybuchów agresji nie będzie też z innego powodu. Powojenne Niemcy to państwo kobiet. Tony Judt przypomina, że wśród młodzieży niemieckiej pojawiła się wówczas niezwykła dysproporcja płci. W niektórych miejscach było nawet dziesięciokrotnie więcej dziewcząt niż mężczyzn. To może być dodatkowe wyjaśnienie, dlaczego wobec ponizienia i ubóstwa – w końcu tak podobnego do tego, na gruncie którego wyrósł po pierwszej wojnie światowej hitlerizm – tym razem rozwinęła się stabilna demokracja bez militarnych ambicji.

Polska premiera „Niemieckiej jesieni” zbiega się w czasie z wejściem do kin filmu „Róża” oraz debatą o obozach koncentracyjnych dla Ślązaków. Możliwe, że wprowadzenie tematu powojennego losu Niemców, mieszkańców Śląska czy Mazurów otworzy w Polsce dyskusję o bezprzykładnej przemocy wobec tych, których dotąd traktowaliśmy jako sprawców zbrodni i ich kolaborantów. Pytanie o odpowiedzialność zbiorową stosowaną w drugiej połowie lat 40. może być kolejnym tematem ogólnonarodowej debaty.

MICHAŁ BILEWICZ



Stig Dagerman „Niemiecka jesień. Reportaż z podróży po Niemczech”, wyd. Czarne, 2012, 120 s., 34 zł

Gwiazdor wspomina

Drobne teksty Williama Styrona – trochę ładne, trochę smutne, trochę śmieszne

Zmarły parę lat temu William Styron, wybitny amerykański prozaik z pokolenia Trumana Capote’a czy Jamesa Baldwina, nie jest ostatnio często wznawiany. Zbiór 14 różnej długości tekstów, nieznanymi albo – w większości – publikowanymi w czasopiśmie, to dobra okazja, by sobie Styrona przypomnieć. A przy okazji wrócić choćby do „Wyznań Nata Turnera”, świetnej powieści o pierwszym buncie amerykańskich czarnych niewolników. W „Hawanach...” temat stosunków rasowych także się pojawia, zresztą kilkakrotnie: we wspomnieniu o ikonie czarnego pisarstwa Baldwinie, apologii oskarżanego o rasizm Marka Twaina (którego Styron nazywa swym „literackim przodkiem”) czy protestie wobec planów budowy przez Disneya parku rozrywki, w którym miały być eksponowane „cierpienia niewolników”.

Mówię tu o „tekstach”, choć podtytuł brzmi „eseje osobiste”, bo nie są to jednak, niezależnie od nieostrych gatunkowych granic, pełnowymiarowe eseje. Mamy do czynienia raczej z krótką prozą wspomnieniową lub nieledwie felietonami – różnej wagi i wartości.

Nieco irytujące jest swego rodzaju gwiazdorstwo autora, kiedy przemawia z wyżyn pozycji „sławnego pisarza” lub relacjonuje (niezbyt skądinąd ciekawe) spotkania z moznymi tego świata: podczas inauguracji prezydentury Mitteranda czy wizyt u prezydenta Kennedy’ego. O nich traktuje szkic tytułowy, a J.F.K., przywoływany z wielką admiracją, trafił nawet zamiast samego Styrona na okładkę polskiego wydania. A to drażni szczególnie,

bo dziś w miarę powszechnie wiadomo, jak się ów ulubieniec kulturalnej Ameryki (i nie tylko) zachowywał na przykład wobec kobiet – jak zwykły podlec.

„Gwiazdorstwo” Styrona daje się po części wytłumaczyć generacyjnie, on sam z rozrzuśnieniem wspomina czasy debiutu, kiedy to „pisanie i publikowanie powieści otaczała aura pełna szacunku, by nie rzec nabożnej czci”, ale ambiwalentne wrażenia pozostają.

Szczęśliwie, jest tu także sporo ładnych i nieco awanturniczych nawet kawałków. Choćby najdłuższy o pobycie w szpitalu korpusu piechoty morskiej, kiedy u młodego Styrona fałszywie zdiagnozowano syfilis. Uroczą jest także opowiadanka o (po myślnie rozwiązanych) kłopotach pisarza z prostotą i relacją z wycieczki do chicagowskiego więzienia. No i wreszcie opowieść o wyższości spacerów nad (potencjalnie zabójczym) joggingiem, której nie sposób nie wziąć sobie do serca. I mimo że większość „drobnego” Styrona do serca nie trafia, raczej sympatycznie przelatuje przez głowę, to warto dawnemu gwiazdorowi ofiarować trochę czytelniczego czasu.

MARCIN SENDECKI



cccc

William Styron „Hawany w Camelocie”, przeł. Jerzy Korpanty, Sfery, Warszawa 2012, s. 208, 34,90 zł

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Rozważny i sympatyczny

Niezdarny hipopotam i inteligentny pies wrócili. I nadal są sobie niezbędni. Pierwszy po to, by para wpadła w kłopoty, drugi – by z wdziękiem można było z nich wyjść

Gucio i Cezar” to klasika polskiego komiksu dla najmłodszych. Przed laty przygody bohaterów narysowanych przez Bohdana Butenkę ukazywały się w formie niewielkich zeszytów. Teraz zebrano je i wydano w jednym, grubasnym tomie. Łaskomy Guccio i rozważny Cezar są ciągle w podróży. Odwiedzają niezwykle krainy, pływają po morzach, przemierzają lądy i latają w kosmos. Spotykają piratów i kowbojów, królów i księżnicz-

ki, porywają i są porywani, zmagają się z potworami, uciekają z więzienia. I nie tracą przy tym nic ze swojego czaru i ciepła. Mimo że (a może właśnie dlatego) hipcio nie potrafi wyciągać wniosków z kolejnych przygód. „Gucio, zrozumiałeś coś?” – pyta Cezar. „Nie. Nic a nic!” – odpowiada niezmiennie hipopotam z tym samym co przed laty wdziękiem.

Jakość gwarantują tu nazwiska twórców książeczki. Krystyna Boglar jest autorką wspaniałych powieści dla dzieci: „Nie głaskać kota pod włos” i „Każdy pies ma dwa końce”, Butenko to twórca słynnych postaci – Gapiszonia i Kwapiszonia, który za dowcipny i lapidarny styl rysowania otrzymał wiele nagród, w tym Medal Polskiej Sekcji IBBY.

MONIKA JANUSZ-LORKOWSKA



Krystyna Boglar, „Gucio i Cezar”, Il. Bohdan Butenko, Dwie Siostry, Warszawa 2011, 45,50 zł



Przygody odmieńców

Wokół matematycznych odniesień zbudowana została fabuła „Samotności liczb pierwszych” – filmu opartego na debiutanckiej i bestsellerowej powieści Paola Giordana, zresztą fizyka z wykształcenia

Liczby pierwsze to te, które dzielą się wyłącznie przez jeden i przez siebie. Są wśród nich tzw. liczby bliźniacze oddzielone zawsze liczbą parzystą (np. 17 i 19).

Taką parę stanowią tutaj Alice i Mattia, na życiu których zaważyły traumy z dzieciństwa. Ona kuleje po wypadku na stoku narciarskim. On nie przypomniał sobie siostry, która zaginęła bez wieści. Oboje są zamkniętymi w sobie odmieńcami – trafiają na siebie w szkole średniej i nawzajem się przyciągają. A jednak zawsze stoi między nimi jakaś „liczba parzysta”, która nie pozwala zbudować im naprawdę bliskiej relacji. Androginiczna Alice – zakompleksiona, wyszydzana i poniżana przez koleżanki – kultuwuje własne cierpienie, brnie coraz dalej w samoudrękę. Mattia to geniusz w naukach ścisłych, a jednocześnie osoba zablokowana emocjonalnie, sparaliżowana poczuciem winy i skłonna do autoagresji.

Chwilami udaje się reżyserowi Saverio Constanzo oraz aktorom dotknąć czegoś bardziej przejmającego. W jednej scenie, sytuacji, geście pokazać tytułową samotność istot nieprzystosowanych, nadwrażliwych, osobnych. Dziwnych „kosmitów”, którzy spadli na ziemię. Constanzo wyraźnie nawiązuje do „Przygody” Antonioniego – klasycznego już dzieła o alienacji i dezintegracji jednostek we współczesnym świecie (podobieństwo możemy odnaleźć w wątku tajemniczego zniknięcia, także w ostatniej sekwencji). Stanowczo jednak za bardzo deklutuje się formą i technicznymi sztuczkami. Meandryczna narracja wije się między różnymi planami czasowymi (zaniedbując po drodze różne wątki), a wystudiowane zdjęcia Fabia Cianchettiego sprawiają, że zaczynamy skupiać uwagę na ornamentach i ozdobach zamiast na dramatach bohaterów, które niekiedy robią wrażenie hipsterskiego niemalże pozostwa. Przygoda z filmem Constanza jest więc, prawdę mówiąc, średnio ekscytująca.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

ccc

„Samotność liczb pierwszych”, reż. Saverio Constanzo, Włochy, Francja, Niemcy 2010, 118’, Aurora Films, premiera 23 marca

Naprawdę czarna komedia

Belgijska rysownicza z uśmiechem na ustach rozprawia się ze swoimi rodakami, emigrantami i mitami europejskiej tolerancji

Belgia to jedno z tych bogatych, kuszących państw w Europie Zachodniej, które emigranci powinni omijać z daleka. Ale oczywiście tego nie robią, bo już właściwie nie ma krajów, które przyjmują przybyszów z Afryki z otwartymi rękoma. Waloni z Flamandami zajęci wzajemnymi oskarżeniami, ciągle balansujący na granicy rozpadu państwa mają dość własnych kłopotów. Swoje robią też kolonialna przeszłość i ludobójcza działalność Leopolda II, który doprowadził do śmierci

10 mln mieszkańców Kongo. W takiej sytuacji czar ni, śniadzi, żółci są tylko kłopotem. A kłopotów lepiej nie mieć, więc piętrzy się przeszkody. Pierwsza to rozbudowana do granic możliwości biurokracja – tylko 10 proc. ubiegających się o azyl przyznaje się status uchodźcy. Komiks Judith Vanistendael „Dziewczyna i Murzyn” to świetny raport nie tylko z wojny emigrantów z belgijskimi urzędami, ale też ze stanu świadomości mieszkańców tego małego kraju leżącego

w centrum Starego Kontynentu. A może nawet to historia o Europejczykach rozdartych między przymusem bycia nowoczesnym, tolerancyjnym a kulturowym przez lata poczuciem wyższości wobec obcych, o strachu białej, rdzennej Europy przed peryferiami...

Kiedy Sophie, komiksowa główna bohaterka, drugi dzień nie wraca do domu, matka nie wytrzymuje: „Twoja córka jest w Le Petit Chateau (schronisko dla ubiegających się o azyl), zadaje się z Jugosłowianami i Albańczykami i Bóg jeden wie, z kim jeszcze. A ty w tym czasie siedzisz zakopany po uszy w weekendowe gazety. Po prostu nie chce, by wróciła do domu z bośniackim dzieckiem w brzuchu” – krzyczy do swego męża przykładna żona. Rodzice nie przewidują, że z córką jest jeszcze gorzej. Po powrocie oznajmia, że od porządných chłopaków z sąsiedztwa woli emigranta z Togo. Matka oczywiście wpada w histerię. Ojciec też, tyle że nie daje po sobie tego poznać. „Dziewczyna i Murzyn” inspirowana jest związkiem autorki z uchodźcą politycznym. Vanistendael stworzyła komiks jako odpowiedź na książkę swego ojca, który opisał, jak relacja córki i afrykańskiego księcia wyglądała z jego perspektywy, jak zmieniła jego samego.

Sama nie oszczędza ani rodziców, ani emigrantów, robi to jednak z takim poczuciem, że całości bliżej do czarnej komedii niż oskarżenia. Przedstawia ich jako kanapowych postępców, którzy w zderzeniu z realnym obcym muszą na nowo zwerifikować swoje poglądy.

Oświecony, tolerancyjny ojciec, dziennikarz, nie ukrywa, że boi się miasta. Porusza się samochodem po trasie: podmiejski dom – redakcja – parlament. Żyje w przekonaniu, że emigranci gwałcą dziewczyny w czarnych dzielnicach. Poza tym jest uosobieniem nowoczesności i sukcesu. Matkę, zadeklarowaną sympatyczką lewicy, zafascynowaną NRD, nie potrafi zaakceptować czarnego jako chłopaka swojej córki. Chętnie za to oskarża o rasizm swoich rodaków.

A emigranci? Mają za sobą piekło doświadczeń w swoich krajach. Nie przeszkadza im to jednak w Belgii kłamać co do swojej przeszłości, okradać innych emigrantów, traktować wolontariuszki jako przyszłe kochanki.

Po kolejnej odmowie uzyskania azylu Abou musi opuścić Belgię. Sophie była już w Afryce i za nic w świecie nie chce tam wracać, nie mówiąc o zamieszaniu (co zresztą nie dziwi jej partnera). Właściwie jedynym ratunkiem dla pary jest ślub...

Czarno-biały, rysowany niezwykle sugestywną, plastyczną kreską komiks Vanistendael byłby miłym romansem z postkolonialną historią w tle, gdyby nie zaskakujące zakończenie. Lekka historia zmienia się w przejmujące wyznanie: pełna integracja emigrantów z Afryki czy Azji w Europie to utopia. Te dwa światy na zawsze pozostaną rozłączne, a nasza tolerancja, którą tak lubimy się chwalić, zbudowana jest na kruchych podstawach.

JACEK TOMCZUK



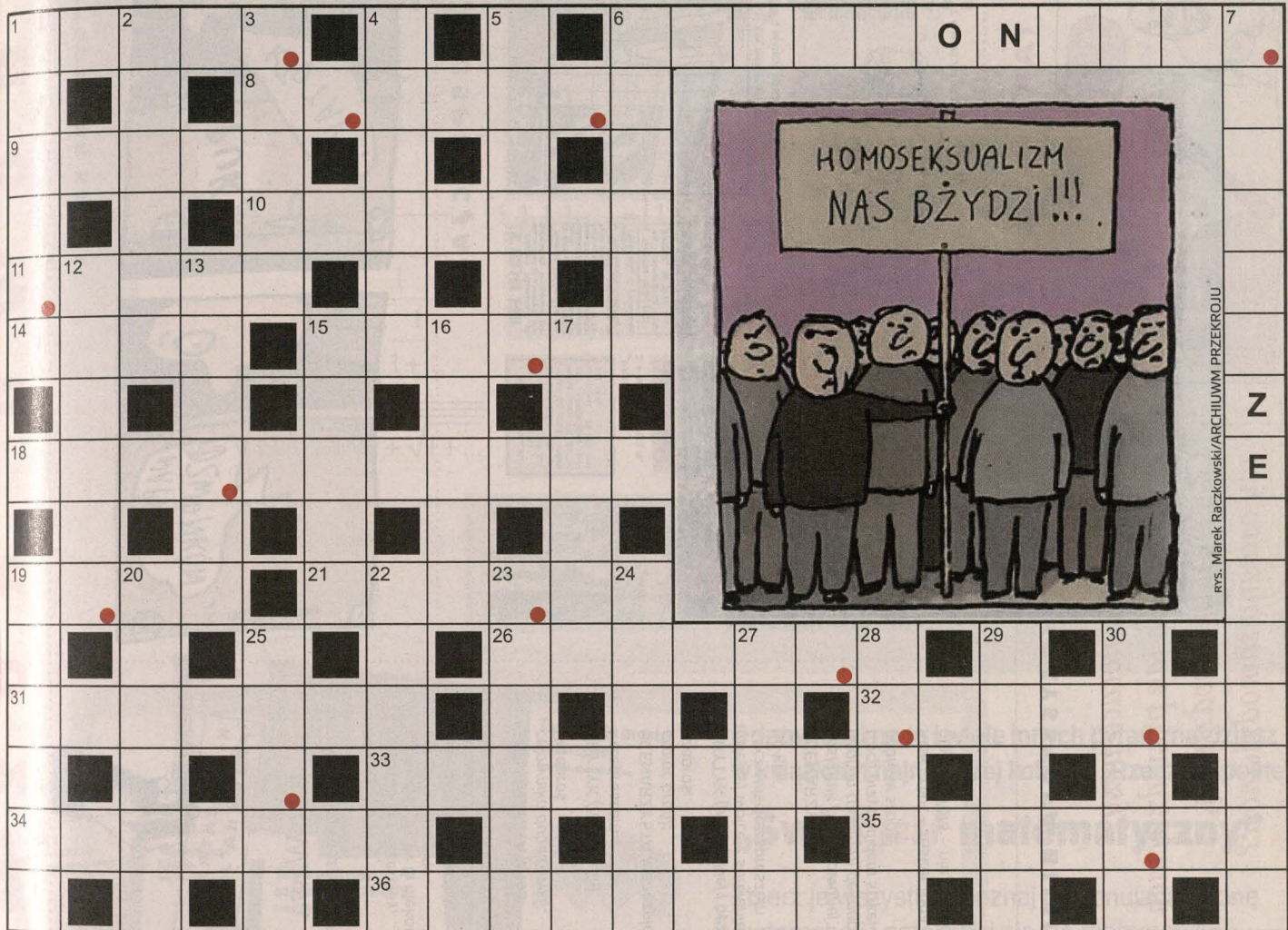
„Dziewczyna i Murzyn”, Judith Vanistendael, przeł. Łukasz Wróbel, Timof i Cisi Wspólnicy, 2012



ROZMAITOŚCI: KRZYŻÓWKA NR 12

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45



POZIOMO:

1. PRZEŻYŁ ROZBIORY
6. PASTA MU Z BUTA WYSTAJE
8. DODANA FIRANA
9. ŻARCIE W BUDZIE
10. KARUZELA Z MADONNAMI
11. SNOPOWIĄZKA
14. KRÓLOWA ŚNIEGU
15. PRZESZEDŁ SZLAK BOJOWY
18. POJAZD NA PIECHOTĘ
19. ALEJA ZADURZONYCH
21. NIEPOROZUMIONKO W KUCHNI
26. TRZEBA ZNOSIĆ JEJ OJAJA
31. PIERWSZY BIEG
32. LECZENIE ROSOLEM
33. PIES NA ORZECHY
34. LEJE WODĘ DORZECZY
35. NA ŻÓŁTYCH PAPIERACH
36. BÓL BÓL BÓL

PIONOWO:

1. KOSTKI RUBIKA
2. IM. MUŃKA
3. PSIA KUPA
4. UCISKA PTAKA
5. UŻYWA DZIADKA DO ORZECHÓW
6. ZNAWCA WYBIEGÓW
7. PISMO Z MAGAZYNU
12. LITERATKA JEDNA
13. NAMIESZAŁ W PRZEMYŚLE MOTORYZACYJNYM
15. KAMIZELKA NA MAJTKACH
16. NOCNEGO
17. RZĄD PUŁKOWNIKÓW
19. KOŁO KOŁO KOŁA DO ORZECHÓW
20. ALE ZASUWA
22. SQUAT SQUAW
23. NAWIGACJA, KTÓRA TRAFIA NA ŚMIETNIK
24. PAŃSTWO NA U
25. GDZIE NIEŻYWI, TAM SIĘ ŻYWI
27. ZE RWANA
28. POWAŁA KOWALSKIEMU KUPIĆ DIAMENT KOWALSKIEJ
29. PTASIE G
30. CZĘSTO GĘSTO



Nagrodą w tym tygodniu jest książka Johna I. Jerkovića „Wojownik SEO. Sztuka osiągnięcia najwyższych pozycji w wyszukiwarkach”, bestseller każdego e-biznesmena, dzięki któremu opanujesz skuteczne strategie pozycjonowania stron.

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 12”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 25 marca 2012 r. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów albo usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgłoszenia zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został złożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

LAUREACI Z NR. 9

Maria Dziamba, Tarnobrzeg; Alicja Głowacka, Gdańsk; Danuta Kiepińska, Toruń; Maria Kuczyńska, Gryfice; Urszula Malik, Rotmanka; Ewa Pecold, Łódź; Joanna Ptak, Kielce; Maria Stanisławska, Gnień; Wioletta Trzeciak, Syców; Mariusz Zagórski, Dzierżonów

ROZWIĄZANIE Z NR. 10

KRZYŻÓWKA: BRATNIA DUSZA
POZIOMO: 1. ROZMOWY W ROZKROKU – IMPAS 6. PEŁEN SZACUNEK – NABOŻEŃSTWO 8. CZASEM TRACI WĄTEK – TKANINA 9. WIEŚ POLSKA XIV WIEKU – SIOŁO 10. TYPOWA KOWALSKA – PODKOWA 11. WIRUSOWA CHOROBA MORSKA – KRYPA 14. BEZKARNY KARATEKA – TEKA 15. SEKSKRETNE POMIESZCZENIE – ALKOWA 18. ŚRODOWOŚĆ ITD. – CODZIENNOŚĆ 19. DROGI OBRAZEK – MAPA 21. MIĘDZY RAKIEM A KOZIOŁOŻCEM – TROPIK 26. WYKĄNCZA POKÓJ – AGRESOR 31. WIEJSKI KULTURYSTA – ETNOLOG 32. PRZECIEK W PROKURATURZE – USTERKA 33. DOBRA Z PUSZKI – RECYKLING 34. CO PANI ROBI WIECZOREM – ZAJĘCIE 35. BO TO, CO NAS PODNIECA – BODZIEC 36. SPODNIE ŻEGLARZA NA S. – SZARAWARY
PIONOWO: 1. CHRZĄSZCZ BRZMI W TRZCINIE PO ŁACINIE – INSEKT 2. PRZY NADZIEI – PROMYK 3. KOSTKA PRZY BRUKU – STOPA 4. DEMOLUD – WANDAL 5. UBRANIE DO SPANIA – KIMONO 6. U STÓP NOSA – NASADA 7. TANIO SKÓRY NIE SPRZEDA – OGŁOSZENIODAWCA 12. SŁAWA PRZYBYLSKIEJ – RENOMA 13. NA MIARĘ NALOGU – PACZKA 15. POGOTOWIE W POGOTOWIU – ALERT 16. MASZ NA NIE WPŁYW – KONTO 17. SZCZURY DO GÓRY – WYŚCIG 19. MIĘDZY NAMI CHŁOPAMI – MIEDZA 20. DUŻO PANIENEK NA CHACIE – PENSJA 22. ZWÓJ PRZEMYSŁOWY – REGRES 23. SŁOWO NA NIEDZIELĘ (WIELKANOCNA) – PASCHA 24. JEŚLI WJEDZIESZ MIĘDZY WRONY – KRAKSA 25. BIEGNIE PRZESKRZYŻOWANIE I MA ROGI – ULICA 27. ODERWANA OD PŁUGA – SKIBA 28. WYRYWANIE SOBIE JAJA – RUGBY 29. KUPA GOŁĘBI – STADO 30. LATAJĄCY PTASZEK PREMIERA – ORLIK

Czy brokuła da się opisać wzorem matematycznym?



$$\Phi = 1 + \frac{1}{1 + \frac{1}{1 + \frac{1}{1 + \dots}}} = [1, 1, 1, 1, \dots] = [\bar{1}]$$

$$\Phi = \sqrt{1 + \sqrt{1 + \sqrt{1 + \sqrt{1 + \dots}}}}$$



Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdziesz w książkach najnowszej kolekcji „Rzeczpospolitej”

„Świat *jest* matematyczny”

Zbierz je wszystkie, poznaj pasjonującą stronę matematyki i przekonaj się, że matematyka jest we wszystkim co nas otacza!



TOM 3
Liczby pierwsze
w kioskach
od środy,
21 marca

- Matematyczne odkrycia, które wpłynęły na kształt cywilizacji
- Przełomowe twierdzenia najgenialniejszych umysłów wszech czasów
- Intrygujące teorie i hipotezy, nieprzeniknione zagadki i zaskakujące paradoksy

Poleca **RZECZPOSPOLITA**

OFERTA PRENUMERATY: Zamiast szukać kolejnych pozycji w kioskach wyślemy Ci je do domu na nasz koszt. Zamawiając subskrypcję, otrzymasz także rabat ponad 20% i zaoszczędzisz 280 zł! Poznaj szczegóły oferty najwygodniejszych zakupów - zamów subskrypcję on-line na www.rp.pl/e-sklep

Z N O W U R O Z M A I T O S C I

RACZKOWSKI NA KONIEC



RETROSPEKJA

OBUWIE

— Ten twierdził, że...

„PRZERÓ” z 2 MARCA 1952 R.

W SUDACH MÓW

„PRZERÓ” z 4 MARCA 1952 R.

PROSTA LUDZI

„PRZERÓ” z 11 MARCA 1952 R.

BĘDZIE LEPIEJ!

„PRZERÓ” z 2 MARCA 1952 R.

GENIALNACI?

„PRZERÓ” z 18 MARCA 1952 R.

SCENARZYSTA

„PRZERÓ” z 11 MARCA 1952 R.

NIE TAK: JAN KOZA



MYŚNIK KRZYSZTOFA BILICY

Siedzimy po nocach przy komputerach jak przy dzieciach. Czy się nam oduździęca, gdy osiągną samodzielność?



Kac Wawa
(thriller rewanżystowski)

Występuje: tradycyjnie nietrzejny, niewykształcony & niekompetentny KRYTYK oraz umęczony, rozbity duchowo & niestabilny moralnie SCENARZYSTA

SCENARZYSTA (znad celownika dubeltówki): Przepros.

KRYTYK (chrapliwie): Przepraszam.

SCENARZYSTA (odbezpieczając broń):

KRYTYK (po krótkiej i bezna- dzielnej walce z sumieniem): I oczywiście zapraszam do kin.

SCENARZYSTA: (wskutek powodowanej nagłym triumfem dekoncen- tracji przypadkiem strzela sobie w stopę)

KURTNA – zaskoczona na- głą metaforą – nie opada.

ROMAN KURKIEWICZ

Nie poczytaj mi mammo, to za drogo

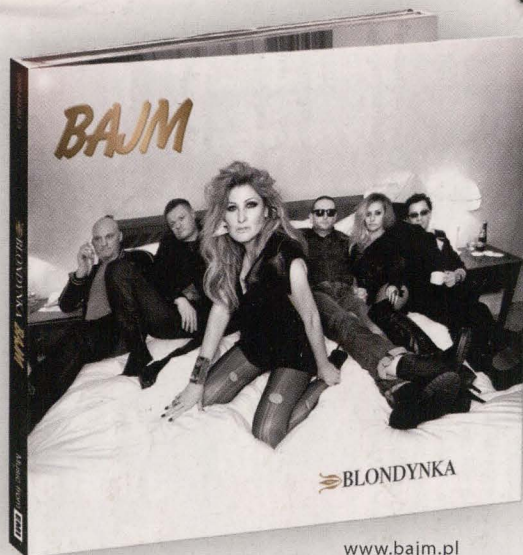


LEWO MYŚNIK

Więć, że to za mało. Myślę, że to zbędne ograniczanie się i zawężanie problemu. Rachunekki za książeczki. Co tam kilka procent? Jakas książeczka cienia i niepoważna, z ryśkami, co to za sumy. Jakies kilkadziesiąt zdań, marne grosze, eurocenty. Otóż w moim ulubionym cyklu działań intelektualnych, bez większych widoków na realizację pod hasłem: „Wymyślę genialny sposób na zarobienie fortuny”, niniejszym patentuję urządzenie zwane Kasą Opat. Za Słowa, dla przyjaciół KOZA. KOZA w formie zminiaturyzowanego mikrorejestratorointerpretatorodpowodowca zapisuje, analizuje każde wypowiedziane przez nas słowo. Jest równo- czesnie czynny w rodzaju kasy fiskalnej, banku internetowego, kontrolera słów. A pamiętajmy, każde słowo jest czymś wła- snością. A jeśli jeszcze nie jest – to będzie. Na przykład tzw. narodu. Słowa narodowe stanowią o jego tożsamości i dzie- dztwie. Nie mogą sobie kłócić ot tak, bez posiadacza. I tak naród opodatkuję swoje słowa, słowo to pieniądź, każda gadka to przyrost PKB, każda wymiana paru zdań pomaża dobrać. Niektóre słowa są wymyślone przez konkretnych ludzi, wtedy oni zyskują normalne tantiemy (wiem, co piszę, sam kilka stworzyłem, nie wiem tylko, czy ktoś oprócz mnie ich używa, nic to – opłacam sobie sam tantiemy). A tak znika problem zdobywania pieniędzy inaczej, bogactwo chowa się w naszych niezamierzających się gębach, w szepcach, krzykach, groźbach. Jest również sposób na wykorzystanie tzw. mowy nienawści i przekleństw! Za każde „kurwa mać” czy „pierdole”, nie rodzę” taryfa specjalna! Dziecięciokrotność! Pomysłcie tylko, jakie milczenie zapadnie. Politycy znikną z mediów, bo za każde słowo każdy pięci sam. Miliony ludzi nauczą się migowego. W tramwajach, autobusach, pociągach nikt nie gada przez komórkę. Na uczelniach cisza, jak maknem zasiał. Na przesłuchaniach nie tylko podejrzan, ale i przestu- chujący powstrzymują się od zbędnych słów. Jedna, wielka, droga cisza. Strumienie zysków z jednej stro- ny i zmiana społeczna z drugiej, poprawa jakości języka z trze- ciei i refleksja nad mową z czwartej. Idę wymyślać nowostawia. Wreszcie słowo będzie naprawdę coś warte.

BAJIM

 BLONDYNKA



www.bajm.pl

NOWY ALBUM

PREMIERA: 21/03/2012

ZESKANUJ
TELEFONEM
TEN KOD
I ODWIEDŹ
STRONĘ BAJMU
NA FACEBOOKU

